Nr. 17. Warszawa, dnia 28 (16) Kwietnia 1894 r. Rok XIV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2.** k. **50**, rocznie rs. **10.**

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

W d. 8 (20) kwietnia w Koburgu — dokąd z powodu zaślubin księżny Melity Koburskiej z wielkim księciem Hesskim zjechało się wiele europejskich głów koronowanych i przedstawicieli domów panujących — odbył się akt bardzo ważny i dla nas doniosły: zaręczyny Jego Cesarskiej Wysokości Cesarzewicza Następcy Tronu z Księżniczką Alicyą Hesską. Najdostojniejsza Narzeczona jest córką wielkiego księcia Hesskiego i księżniczki Wielkobrytańskiej Alicyi, córki królowej Wiktoryi; urodziła się ona d. 6 czerwca 1872 r., jest więc o cztery lata młodsza od Jego Cesarskiej Wysokości Cesarzewicza Następcy Tronu, urodzonego dnia 6 maja 1868 r. Trzy starsze siostry księżniczki Alicyi — księżniczki: Wiktorya, Elżbieta i Irena — są za mężami: księciem Ludwikiem Battenbergiem, Wielkim Księciem Sergiuszem Aleksandrowiczem i księciem Henrykiem Pruskim, bratem cesarza Wilhelma. Małżeństwo Jego Cesarskiej Wysokości Cesarzewicza Następcy Tronu wzmocni węzły rodzinne, łączące Dom Panujący Ruski z dynastyą Hannowerską; obecnie istnieje już podwójne pokrewieństwo, ponieważ Jej Cesarska Mość Najjaśniejsza Pani jest rodzoną siostrą Księżny Walii, a nadto Wielka Księżna Marya Aleksandrówna, rodzona siostra Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszego Pana, jest za mężem za księciem Edymburskim, który wstąpił obecnie na tron Koburski. Małżeństwo Jego Cesarskiej Wysokości Cesarzewicza Następcy Tronu do tego podwójnego pokrewieństwa doda trzecie ogniwo, ponieważ Najdostojniejsza Narzeczona jest wnuczką królowej Wiktoryi. Małżeństwo to wzmocni także związek rodzinny Domu Romanowów z domem Hohenzollernów: księżniczka Alicya przez swoją matkę jest cioteczną siostrą cesarza Wilhelma, a przez małżeństwo swojej siostry Ireny z księciem Henrykiem Pruskim jest jego szwagrową.

Prasa niemiecka, jak to było powiedziane w naszym telegramie, radośnie wita ten rodzinny wypadek i przypisuje mu wysokie znaczenie polityczne.

(*Warsz. Dniewn.*).

POLITYKA.

ZWYCIĘZTWO CRISPIEGO.

Zwycięztwo Crispiego nad oporną jego projektom Izbą ma przedewszystkiem znaczenie psychologiczne. Jeszcze raz potwierdził się fakt, że parlament jest takim samym tłumem, jak każdy inny i że ile razy na czele tego tłumu stanie człowiek z talentem i silną wolą, zawładnie nim z pewnością. Życie parlamentarne narodów europejskich jest pod tym względem niezmiernie pouczające i dziwić się trzeba, że są jeszcze umysły, odmawiające głównego udziału w tworzeniu dziejów jednostkom, a przypisujące go wyłącznie masom. Wprawdzie jednostki te bywają zwykle wyrazicielami instynktów, zasad, dążeń i pragnień swej masy, ale to nie zmienia ich potężnej roli. W niektórych ciałach prawodawczych (np. we Francyi), mimo wielkiego powinowactwa składających je pierwiastków, widzimy ciągły rozstrój, zamęt, ścieranie się i zagryzanie interesów — dlaczego? Dlatego, że tam nie ma jednej mocnej energii, którąby te walczące i pożerające się żywioły uśmierzyła poskramiającą ręką, zaprzęgła je i puściła w pewnym kierunku. Nie tylko w Niemczech, ale w każdem państwie konstytucyjnem Bismark okiełznałby większość sejmową i rządził z nią samowolnie. Wszystkie wiece wyborcze i udawana na nich samodzielność kandydatów, wszystkie ich miny opozycyjne w Izbie, wszystkie dąsy, deklamacye, *veta* — wszystko to pierzcha, gnie się lub łamie w palcach pogromcy parlamentarnego. Cała ta czereda niepodległych i buńczucznych przedstawicieli narodu hałasuje, szturga się, pokazuje języki i wygraża pięściami, dopóki nie wejdzie do... klasy nauczyciel, który cały hałas uspokoi i oprócz garstki nieprzejednanych narzuci wszystkim swoją wolę. Nigdy społeczeństwa nie widzą w całym rozmiarze ani wypadków, ani instytucyj, śród których żyją i które dopiero ich potomstwo ogarnie wzrokiem i oceni należycie. Trudno więc wymagać, ażeby narody europejskie zrozumiały, jak wielką komedyą jest ich parlamentaryzm, w którym przywykły upatrywać świątynię swoich praw i swojej woli. Dopiero kiedyś historya wykaże ich następcom, że ta świątynia służyła albo za targowisko egoizmów, albo też za miejsce ofiary z własnych przekonań u stóp jakiegoś bożyszcza. Czytelnicy, śledzący oddawna bieg spraw politycznych, pamiętają, ile to razy sejmy niemieckie buntowały się przeciwko „żelaznemu księciu“; ale gdy on przed nimi stanął i otworzył groźnie usta, natychmiast zbuntowani z drżącemi od strachu łydkami biegli do urny i składali swe głosy według jego rozkazu, a wbrew własnemu przekonaniu. Z wielu przykładów przytoczymy jeden. Gdy Bismark wybrał sobie za przybocznego lekarza osławionego dr. Schwenningera, który był kilkakroć karany kryminalnie za rozmaite przestępstwa i gdy, chcąc go mieć blizko siebie, zażądał od sejmu utworzenia na uniwersytecie berlińskim katedry dermatologii i powierzenia jej owemu panu — zdawało się, że już w tej sprawie wypowie mu posłuszeństwo nawet najwierniejsza jego drużyna. Tymczasem on wszedł na mównicę, zgromił oponentów jak krnąbrnych żaków — i dr. Schwenninger został profesorem dermatologii, mimo protestu całego fakultetu.

Crispi jest człowiekiem mniejszej miary i mniejszej siły, ale również umie panować nad tłumem parlamentarnym. Gdy on i jego towarzysz, minister skarbu, wnieśli swe projekty reformy administracyjnej i finansowej i gdy większość Izby powitała je oburzeniem, można było sądzić, że ona poprostu nie zechce o nich mówić i raczej pozwoli się rozwiązać, niż uchwalić coś tak przeciwnego jej przekonaniom. Ale

Crispi nie uląkł się, nie rozpoczął nawet targów, lecz oświadczył, że ani na krok nie odstąpi od tego, czego żąda. Na wszelkie propozycye zgody odpowiadał: jeżeli będziecie się opierali, poproszę króla, ażeby was rozpędził. To ostatecznie poskutkowało. I nic dziwnego. Większość posłów w dzisiejszych parlamentach — to nie ludzie trwałych zasad, niewzruszonych programów, pragnących dobra ogólnego w pewnej, ukochanej przez nich postaci, lecz karyerowicze, polujący na mandaty dla dogodzenia swojej próżności, dla zyskania korzystnych stosunków, dla poparcia nimi swoich interesów. Jeżeli więc tym ludziom zagrozi się rozwiązaniem Izby, natychmiast mięknął jak wosk. Wybór na posła jest zawsze kosztowny i zawsze wątpliwy: trzeba obywateli ugaszczać, przekupywać, obdarzać prezentami i obietnicami, otwierać przed nimi kieszeń i schylać głowę, a nieraz wszystko to jeszcze nie osiągnie pożądanego skutku. Lepiej więc uledz woli ministra, aniżeli zaryzykować mandat, który można postradać, a w najlepszym wypadku trzeba drogo okupić.

Świeże zwycięztwo Crispiego nie jest tryumfem w jakiejś sprawie zasadniczej (chodziło tylko o wyznaczenie terminu dla obrad nad projektami finansowymi), z całego jednak zachowania się Izby widać, że ona postanowiła uniknąć zatargu z energicznym ministrem i nie zmusić go do wyjęcia z kieszeni dekretu królewskiego, odwołującego się do narodu za pośrednictwem nowych wyborów. Wygrawszy jedną bitwę, wygra Crispi następne, daleko ważniejsze. Czy zalecane przez niego środki wybawią wreszcie Włochy z niedoli, to inna kwestya, której tu poruszać nie będziemy, gdyż byłoby to zbyt wielką pretensyonalnością chcieć rozciąć z daleka piórem splątany węzeł kłopotów narodu.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Bismark znowu przemówił. Mimo całej pomysłowości b. kanclerza, trudno od niego wymagać, ażeby odzywając się tak często do rozmaitych deputacyj, wypowiadał coś nowego. Świeże też w jego gawędach bywają tylko dowcipy, których mu rzeczywiście nie brak i kolki, któremi ciągle rani swych przeciwników. Tym razem ugaszczał i raczył miodem swej wymowy posłów narodowo-liberalnych. Przedewszystkiem — jak to zwykł czynić przy każdej sposobności — złożył hołd własnemu geniuszowi, który mu pozwolił stworzyć tak znakomitą i trwałą maszynę państwową, że nawet kierujący nią obecnie partacze nie mogą jej popsuć. Poniekąd przypuszczał on sam, że zrobił ów zegar gdański, który umiał nakręcać jeden tylko zegarmistrz, tymczasem nakręcają go inni, a świetny czasomierz ciągle idzie doskonale. Rozwodził się dalej książę o smutnem położeniu rolnictwa, o niezgodzie z cesarzem i zaprzaństwie narodowo-liberałów, którzy go opuścili i których odwiedziny uważa za rodzaj „babiego lata.“ W końcu poruszył kwestyę wojny. Według niego, jest ona bardzo oddalona, gdyż chwila bieżąca należy do chemików, nie zaś do generałów. Dopóki chemia wojskowa nie ukończy swych prac, dopóty żaden dyplomata nie odważy się zakłócić pokoju europejskiego. To też państwa powinny zająć się sprawami wewnętrznemi i zapomnieć o wojnie. Jeszcze raz odśpiewał Bismark swą zwykłą piosenkę o niedorzeczności oddzielenia urzędu kanclerza od prezydentury w ministeryum pruskiem.

B. minister fancuski Flourens, widocznie straciwszy nadzieję piastowania kiedykolwiek tej godności, zaczął w *Figarze* zdradzać rozmaite tajemnice. Między innemi opowiedział historyę uwięzienia Schnaebelego, które w swoim czasie naprężyło aż do pęknięcia stosunki między Francyą a Niemcami. Bismark twierdził, że on kazał go uwolnić, tymczasem Flourens wyjaśnia, że to stało się wskutek starań ambasadora niemieckiego w Paryżu, hr. Münstera, który wyjednał odnośny rozkaz u cesarza Wilhelma I. Jest to jedno z wielu sprostowań prawdomówności b. kanclerza.

W angielskiej Izbie gmin rozpoczęły się obrady nad projektem nowej ustawy wyborczej. Ustawa ta naprzód znosi prawo głosowania jednostki w kilku okręgach, natomiast obdarza niem 600,000 osób, mieszkających (przez 3 miesiące) we własnym lokalu, a nadto oznacza jeden dzień na wszystkie wybory. Dotąd odbywały się one w ciągu kilku tygodni dlatego, ażeby mieszkańcom kilku okręgów dać możność przystępowania do urny we wszystkich. Naturalnie konserwatyści, którzy najszczerzej korzystali z tego przywileju, opierają się bilowi całą siłą.

Jednakże nieprzyjazny dla nich prąd nie pozostał bez wpływu. Salisbury w ostatniej swej mowie, broniąc od napaści Izbę lordów, przyznał możliwość dokonania w niej reform, rozumie się bardzo skromnych, ale już i to ustępstwo wiele znaczy.

Cholera grozi znowu zakłóceniem stosunków międzynarodowych. Wybuchła ona w Portugalii i pojawiła się niespodziewanie w Galicyi. Jeżeli zaś nie będzie szybko stłumiona w tych punktach, rozlezie się po Europie i sprowadzi obostrzenia graniczne, tamujące zarówno ruch towarowy, jak osobowy. Cholera też w ostatnich czasach stała się nie tyle niebezpieczną, ile dokuczliwą.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA FRANCUSKA.

Rachilde: *L'animale* (Zwierzęca). Paryż, 1894.

Lubisz tylko czystą wodę? — pytał nieznajomy. Czystą, źródlaną?

— O, tak.

— I prócz tego wszelkie drzewa zielone i noce gwiaździste, letnie, gdzie myśli ulatują z tęsknotą w oddala?

— Tak, tak.

— A zimą ciepłe futro, ogarniające całą postać od stóp do głowy, futro, w którem możesz wygrzać się jak kotek i usnąć, marząc?

— Nadto zimą i latem kochać tych, którzy ciebie kochają?

Na wszystkie pytania Laura, zapomniawszy o niedoli, potrząsała radośnie głową.

— Biedne dziecko — dokończył. I gdzie ty mieszkasz, gdzieś ty się urodziła? Czy wiesz, że dla takich niema na świecie miejsca?“

---

2)

JAKO CIEŃ.

przez

Waleryę Marrené Morzkowską.

Kiedy znów w oknie zobaczyłem panienkę, zrozumiałem, co się stało. Teraz dopiero była bladą, jakby tam krwi kropelki nie miała w twarzy. Siedziała obłożona poduszkami i wspierała na nich ociężałą główkę, a patrzyła tak jakoś żałośnie na błękit nieba, na młodą zieloność drzew, jakby już więcej nigdy widzieć ich nie miała.

Potem któregoś dnia przyszła do naszego ogrodu pani Narczyńska. Byłem w domu, bo właśnie tylko co trzecia minęła. Nie zdołałem jeszcze zdjąć tornistra, kiedy ją zobaczyłem. Była ubrana jak obrazek, suknia włokła się za nią przynajmniej ćwierć łokcia na ramionach, miała trzy, czy cztery peleryny, kapelusz składał się z kilku skrzydeł, a w ręku trzymała jasną parasolkę, całą z koronek.

Kasia właśnie zagrabiała grzędę i stanęła w miejscu jak wryta, Józia, która biegła z rozsadą, upuściła sito na ziemię, a nasz Kruczek zaczął ujadać jak opętany, bo nigdy nic podobnego nie widział i byłby może tę piękną suknię poszarpał, gdybym go nie odpędził.

Gdy wreszcie Kruczek położył się na mój rozkaz i tylko od czasu do czasu groźnie pomrukiwał, zwróciła się do mnie z pytaniem.

— Mój kawalerze, do kogo ten ogród należy?

— A do kogóżby? Do nas — odparłem.

— Do twego ojca — poprawiła mnie.

Zaczerwieniłem się jak piwonia.

A ona mówiła dalej.

— Czy mogłabym się z ojcem zobaczyć?

Nie potrzebowała odpowiedzi, bo właśnie nadchodził, zwabiony niespodziewanym widokiem.

Zapytała, czyby nie pozwolił jej córce— naturalnie za opłatą, dodała—spędzać południowych godzin w ogrodzie; doktór zalecił świeże powietrze i mleko prosto od krowy. Przyszło jej na myśl, że jedno i drugie znaleźć tu mogła.

Mówiła to wszystko w taki sposób, jakby tą propozycyą łaskę robiła ojcu, ogrodowi i nam wszystkim. Ojciec na to nie uważał, bo już taka była jego natura, że każdemu pragnął dogodzić.

— A czemużby panienka przychodzić nie miała, odparł dobrodusznie. Szkody przecież nie zrobi.

Pani Narczyńska aż się z gniewu zarumieniła.

— Szkody! Jakiej szkody?

Pomiarkowała jednak, że jej nie chciał obrazić i zaczęła coś mówić o cenie. Ale ojciec się roześmiał. Powietrza przecież nie ubędzie, że kto nim będzie oddychał, a za mleko panienka zapłaci, jak go wypije.

Potem pani Narczyńska pytała, wskazując na Kruczka, czy ten brzydki pies nie przestraszy jej córki.

Na to ojciec roześmiał się znowu i zaręczył, że Kruczek jak żyje nikogo nie ugryzł, a Kruczek jakby na potwierdzenie szczeknął parę razy wesoło.

W dniu tym o niczem nie mówiono u nas, tylko o chorej panience z przeciwka, która tu przychodzić miała. Nazajutrz matka złajała Kasię i Józię, bo zamiast plec truskawki, ciągle się oglądały. Ja byłbym dał nie wiedzieć co, żeby zostać w domu. Cóż,

Istotnie, gdzie urodziła się ta biedna Laura Lordés, bohaterka powieści Rachildy? Na wyspie samotnej, odległej, oblanej błękitem morza, gdzie palmy kołyszą zielone wachlarze, czy w górach niedostępnych, urwistych, kędy muł ledwie dostanie się i ptak przyfrunie? Może w starej chatce, krytej słomą?

Bo nie w społeczeństwie fałszywem, tchórzliwem, jak nasze, mogła zakwitnąć podobnie piękna dusza. Otwarta, szczera, z przewagą instynktów szlachetnych, prawdziwy człowiek natury bez połowiczności i spaczenia, o krwi kipiącej jak war i uznaniu dla praw tylko w sercu pisanych. A jeśli tak stało się, to urodzenie nie stanowi o życiu. Laura musi zginąć, „ludzkość“ zetnie ją sierpem, jak ściąłby i wyrzucił siewca kąkolu kłos pszenicy, zbłąkany w jego łan.

Już przed dziesiątkiem lat Rachilda rozpoczęła karyerę literacką. Ulubioną jej dziedziną była psychologia dusz kobiecych, nienormalnych najczęściej pod względem płciowym. Początkowo i bohaterka „Zwierzęcej“ miała należeć do podobnych tworów, zdradza to tytuł i kilka pierwszych rozdziałów. Lecz w miarę rozwoju pracy (drukowanej przez dłuższy czas w tygodniku „Koniec stulecia“) nasuwała się autorce postać inna, nienormalna jak tamta, ale dzięki innym objawom. Jej stronice owiał duch Rousseau'a. Więc stanęła najada, świeża jak fontanna, ale dlatego że świeża — odbijająca od zgniłego gruntu i zapowietrzonej atmosfery.

Laura Lordés ujrzała światło dnia w Essérac, małej mieścinie południowej. Monotonnem było życie notaryuszowstwa. Ojciec prócz kancelaryi myślał tylko o żołądku, matka od rana do nocy piekła ciasta i mięsa. Trapiła oboje myśl, że nie mają dziecka, więc jeździli do lekarzy okolicznych, pytali znajomych, używali różnych środków. Nareszcie po długich latach przyszła na świat dziewczynka.

Otoczyli ją pieszczotami. Gdy miała trzy tygodnie, matka pokazywała ją sąsiadom; dwuletnią przekarmiała ciastkami i słodyczami. Ojciec raczył ją likierem własnego wyrobu. Ale w miarę jak córka podrastała, wychodziła z opieki. Pan Lordés wrócił do kancelaryi, żona do kuchni, a dziecko pozostawione samemu sobie, rosło niby wątła, choć w piękny kwiat mogąca się rozwinąć roślinka.

W okres przejściowy między dziecięctwem a dziewictwem wplata Rachilda wczesne budzenie się popędów płciowych, zaciekawienie stosunkiem mężczyzny do kobiety. Nienormalność ta zresztą, jak zaznaczyłem, pozostająca w związku z pierwotnym pomysłem, zanika. Pozostaje tylko temperament płomienny: od piętnastego roku życia Laura staje w sprzeczności z przeciętną etyką.

Kapituła przysłała do miasteczka wikarego Armanda de Bréville. Dwudziestoletni, o pięknej, szlachetnej twarzy, z oczyma czarnemi, rosły, przypominał sylwetkę świętego Jerzego, walczącego ze smokiem. Smutek jakiś trapił jego duszę: stronił od ludzi, nie żył z nikim. A gdy odprawiając mszę, rzucał okiem na klęczące u stóp dewotki, źrenice napływały mu pogardą.

Z miłości do siostry poświęcił się stanowi kapłańskiemu. Chciał ją uczynić panią całego majątku, odziedziczonego po rodzicach. Nie miał powołania i czarna sutanna gniotła mu piersi, ciężyła na barkach. Ale hardo i dumnie dźwigał włożony ciężar.

W nim zakochała się Laura. Żyła samotnie, rodzice jeszcze mniej wglądali w jej życie, niż przedtem. Towarzyszki raziły swą ograniczonością i głupotą. Cóż ją obchodziło, że Bréville był skazany na bezżeństwo, że odkrycie ich miłości ściągnęłoby na oboje hańbę?

Pewnej niedzieli, po nieszporach, kazała służącej, która jej towarzyszyła, odejść do domu. Gdy kościół opróżnił się, przystąpiła do księdza.

— Czcigodny ojcze, ja cierpię.

— Co pani? — zawołał Armand, widząc jej twarz bledniejącą.

— Przepraszam — prosiła dziewczyna— ale usiądę tu na krześle, bo czuję się tak źle, że nie przejdę przez kościół. Nie opuszczajcie mię, proszę.

Gdy Bréville zamykał drzwi od kościoła, obawiając się, aby kto nie wszedł, Laura zemdlała. Armand zbyt wiele posiadał hartu duszy. Zgadywał, iż ból rozpiera piersi dziewczyny, przeczuwał, że go kocha, sam nie był obojętny, lecz zachował się zimno.

W skwarny dzień czerwcowy Laura oddała się pisarzowi ojca, Séchardowi, ślepemu na jedno oko, budzącemu w niej największy wstręt ze wszystkich znajomych. Dlatego, że Armand nią wzgardził... Postąpiła, jak zrozpaczeni, którzy nie mając odwagi do odebrania sobie życia, kaleczą się, ranią, aby przynajmniej o pół drogi stanąć bliżej wielkich wrót mogiły.

Wyznała to na spowiedzi przed wikarym, nie dał jej rozgrzeszenia. Nazajutrz wezwał do siebie.

— Panno Lauro — powiedział — proszę o pomoc w owinięciu różami tego dużego krzyża. Dużego, jak nasze cierpienia. Zarazem pomówimy.

Uważał ją za siostrę, nie mógł pozwolić, aby kroczyła drogą, na którą los ją zepchnął. Za jedyny sposób uratowania uważał zamężcie. Przyrzekł znaleźć człowieka godnego, mogącego ją uszczęśliwić.

— A tajemnice?

— Pozostaną przy nas.

— Ty zawsze będziesz mną gardził, zawsze będę za mało piękną dla ciebie? Czemu nie chcesz mnie kochać? Możesz potem żałować za grzechy, pokutować—oboje, ja wstąpię za karę do klasztoru.

— Siostro — odpowiadał młody człowiek — ja cierpię, jak ty, nie mniej. I nie żalę się. Kocham ciebie, a kochać mi nie wolno.

Nie miał odwagi stargać ślubów. Laura przyjęła oblubieńca, kolegę szkolnego Armanda, Henryka.

Narzeczeni z werendy patrzyli na krajobraz. Srebrny księżyc wyszedł na niebo, miasto Estérac zasypiało we mgłach w dole. Tu i owdzie błyszczały ogniki, światła okien. Henryk Alban, głaszcząc dłonią pudełeczko z cygarami, myślał, coby powiedzieć uroczystego. Nareszcie spytał:

— Panno Lauro, czy pani nerwowa?

W jej duszę napływała melancholia wieczoru, jak fale rzeki płyną w głębie morskie. Przy świetle księżyca, przybierającego barwę czerwoną, owiana wonią roślinności letniej, chciała rzucić się na trawę z nim razem i pić wino rozkoszy. Po rozejściu się z Brévillem, z każdym dniem lgnęła bardziej ku niemu, szczęśliwa, że myśli o niej, stara się o jej względy. Chciała głowę swą skłonić na jego piersi i usnąć.

A on, począwszy od nerwowości, przeszedł do powozu, który sobie kupią, gdy „uciułają groszy,“ potem do sukien, wstrząc, czy stąd nie grozi niebezpieczeństwo. Gdy Laura odrzekła, że jedna suknia jej wystarczy, zaczął bogatemi farbami malować przyszłe szczęście.

Będzie rósł domowy kominek familijny.

Tymczasem Séchard odkrył Albanowi stosunek swój do Laury, potem utopił się. Alban zerwał, rodzice obili córkę i wygnali z domu.

Nocą uszła z Estérac dzięki pomocy Armanda, który ukrył ją w kościele. Odprowadził do dworca, na pożegnanie pocałowali się w usta. Nie mogła iść, wziął ją na ręce i niósł długo, długo.

---

pójść musiałem. Za to biegłem z powrotem, jak szalony.

Już jej nie zastałem. Właśnie służąca zabierała z ławki poduszkę i podnóżek. Byłem zły. I zaraz po obiedzie pytam Józi, bo ona była ciekawsza i roztropniejsza.

— Cóż panienka?

— Ah — odrzekła — niemrawa to, ledwie się rusza.

Matka litowała się, że widać niebożątko chore, ale mleko jej smakowało.

Tak było przez dni parę, myślałem, że będzie tak zawsze, aż raz wracam z klasy, dzień był bardzo upalny i zaraz na wstępie mignęła mi na ławce niebieska sukienka. Panienka siedziała pod czereśnią, a Kruczek łasił się do niej i skomlał i przymilał i lizał ją po rękach, a ona uśmiechała się blado jeszcze, ale jakoś tak szczerze, że i ja śmiać się zacząłem, uradowany sam nie wiedząc z czego.

Chwilę stałem w ogrodowej furtce, niepewny, onieśmielony nagle. I zamiast iść ulicą koło czereśni, rzuciłem się w bok, chyłkiem koło parkanu, przemknąłem się do domu jak złodziej.

Wszyscy u nas mówili teraz tylko o pannie Elizie, wszyscy się nią zajmowali. Ojciec twierdzi, że ogród powraca jej zdrowie, a matka, że mleko. Siostry nic nie mówiły, spoglądały na siebie mrugając znacząco, może i one przypisywały sobie w tem jakąś zasługę i ciągle też kręciły się koło niej.

Jakie śmiałe, pomyślałem sobie. Wzięła mnie jakaś zazdrość. Kiedy one bawiły się z panną Elizą, mogłom i ja. Cóż, one były sobie proste dziewczyny, a ja przecież już kończyłem szkoły, mogłem pójść na uniwersytet, zostać panem doktorem albo panem adwokatem i Bóg wie czem jeszcze.

W tej chwili zdawało mi się, że cały świat stoi przede mną otworem. A gdybym też tak kiedyś został bardzo bogaty, gdybym się z panną Elizą ożenił?..

Panna Eliza tymczasem nie wiedziała, że żyję na świecie. Błąkałem się po ogrodzie, kryłem za krzakami żeby ją widzieć, a widzianym nie być. Chociaż, dla czego ja się kryłem? Pewno przeszedłbym koło niej, a ona nie zauważyłaby mnie nawet.

Panna Eliza widocznie przychodziła do siebie. Naprzód odrzuciła poduszki i podnóżek, potem chodziła pomaleńku po ścieżkach, potem szła prędzej, wreszcie zaczęła biegać, a nawet dokazywała z memi siostrami i chciała im pomagać.

Któregoś dnia zastałem ją pracującą w najlepsze. Wyglądała wcale inaczej, niż przed chorobą, kiedy to wiecznie widziałem ją w oknie z szydełkiem. Była zwinna jak wiewiórka, wesoła jak ptaszek. Twarzyczka jej była rumiana, szare oczy śmiały się z pod promieni jasnych włosów, które na nie wiecznie opadały, błyszcząc jakby żywe gwiazdy.

Wyglądała na prawdziwe dziecko. Na dobre, rozswawolone dziecko. I ja też ośmieliłem się nagle i zacząłem jej pomagać.

Spojrzała mi wprost w oczy i zawołała zanosząc się od śmiechu.

— Aha! i pan się tu znalazł. Znudziło się kryć po krzakach?

— To panna Eliza go tak odstraszyła, mruknęła Józia.

— Czy to ja straszna?

Stanęła przede mną, oparta na gracy białemi rączkami, których jeszcze nie opaliło słońce, z głową do góry, z rozchylonemi ustami, które nabrały już różanego koloru.

— No! Czy ja straszna? powtarzała rozswawolona.

A ja złożyłem ręce jak do modlitwy i szeptałem pół głosem.

— Panno Elizo! Panno Elizo!

Spoważniała nagle. Odrzuciła gracę i szła powoli ulicą. Szedłem przy niej.

— Niosłem cię — rzekł do niej — niosłem, jak tego ongi chciałaś. Niestety, do piekieł... ja, co chciałem cię widzieć szanowaną, szczęśliwą.

Gdy Laura zapukawszy, weszła do mieszkania Henryka na rue Racine, bo dawnego narzeczonego mimo wszystko pokochała, on najpierw półżartem, pół symbolicznie, zamierzył się na nią krzesłem, jak na ladacznicę, której łaskę robi przyjęciem. Potem spytał, czy nie jest w ciąży i wysłuchawszy, że kocha go, że nie przyjechała być jego utrzymanką, gdyż ma trochę pieniędzy, ale że nie może żyć bez niego, uśmiechnął się i rzekł:

— Dobrze.

— Jeśli nie mogę być twą żoną, będę twoją kochanką.

(D. n.).

W. Bugiel.

„NAJMŁODSI."

II.

Without, or with, offence to
[friends and foes,
I sketch your world excatly
[as it goes.
Byron.

Bohaterzy najmłodszego pokolenia „w nędzy własnego bytu grzebią jak w ziemi na pół-ślepe krety!" Ale analizie analiza nie równa, ani też apatya — apatyi. Lis, który łaknął winogron i nie zdobył ich, także analizuje: owoc jeszcze nie dojrzał, nie warto ubiegać się o niego! Nie bójmy się o losy tego zwierzęcia nie przeanalizuje ono uciech bytu i z rozkoszą opróżni każdą rozkosz, którą znajdzie na drodze żywota. Taka odraza jest objawem zdrowym. To instynkt woła: nie łaknij tego, bo nie zdobędziesz, jedynie stargasz własne siły. Są przecież natury, których pragnienia, trzymane na uwięzi przez obowiązki lub pozbawione możności zaspokojenia, niby lawa burzą się w głębi i wykwitają namiętną analizą, grożącą roztrzaskaniem powłoce cielesnej lub obróceniem w spalenisko treści wewnętrznej. Wokulski jest podobnym typem, Solski należy do tej samej grupy: rdza niezaspokojonej żądzy przegryza ich jak żelazo. Jest wszakże jeszcze inna apatya, będąca już nie reakcyą zdrowia, ale świadectwem zgnilizny. Jej żywe a chodzące wcielenie nie oglądało winogron i nie wie, czy wiszą one wysoko, lecz leniwe i niechlujne rozciąga się w ustronnej norze i rozmyśla, że może warto byłoby sprobować owocu, i czemprędzej sobie odpowiada: „Eh! nie opłaci się skakać. Może po zjedzeniu dostanę niestrawności." Jakie pobudki przeważają w analizie owych bohaterów, grzebiących się w rozpamiętywaniach nad własną jaźnią? Z jakiego źródła wypływa pustka wewnętrzna, sprawiająca, że są próżnią wszelkiej rozkoszy i boją się namiętnego użycia? Postacie, poruszające się w utworach najmłodszej generacyi, acz powtarzają drgania nerwów autora i spłodzone są przez jego ducha, w gruncie rzeczy stanowią zlepek, przerobiony z wrażeń, jakie świat realny zapisał w ustroju nerwowym. I może tętno prawdy nigdzie nie bije tak silnie, jak u tych reżyserów spowiadającej się jaźni, tylko że owa prawda wkrzesza nie zewnętrzne stosunki, ale przejścia duchowe.

A widok jest przykry, nawet nad wszelki wyraz przykry. Jak gdyby pląsał przed nami istny korowód potępieńców! Każdy z nich basa ze znamieniem niemocy na czole. Oblicza są coraz bardziej zbrużdżone rozpaczą, im głębiej się w nie wpatrujemy. Z początku przesuwają się postacie, jedynie zdenerwowane w nieustannej trosce o chleb, które zgrzytają zębami na ten ogłupiający ruch w deptaku zarobkowym, lecz jeszcze nie filozofują o czczości życia. Są dalej typy, względnie zdrowo, ale robak chorobliwej analizy osiadł już we wnętrzu i zanieczyszcza zdrój żądzy wszelakiej. Bohater — jeden z Płoszowskich, tylko mizerniejszego kalibru. Niby zdrów, ale niemoc w nim się gnieździ! Rzeczywistość go nie wabi, jest on jako ów jeździec na czyimś obrazie, nogami rumaka tratujący żywą kobietę i pędzący po kładce nad otchłanią za mglistem widziadłem. „Ból jeszcze czasem gorzej boli niż się zapowiadał a ziszczona pomyślność wydaje się bledszą od przeczutej. Dopiero kiedy upragniony fakt zaczyna już uciekać w poetyczną mgłę chwil minionych, wtedy wrażenie istotne, oczyszczone z mniej pięknych lub niepotrzebnych szczegółów, ogromnieje w sercu rozpamiętującem. Ta druga fala szczęścia, jeśli nie jest mocniejsza, to czyściej rozkoszna niż pierwsza." Sama mania pisania pamiętnika zgoła nie świadczy o pełni życia. Rozumie to nasz samodziejopis. „Może to źle, że piszę dziennik, bo takie przypatrywanie się przebytemu świeżo życiu przedstawia dla mnie pewne niebezpieczeństwo. Czy piszę jednak, czy nie piszę, zawsze mimowolnie wglądam w siebie po każdem wzruszeniu, po każdej zmianie duchowego życia. To mnie męczy. Dałbym wiele za szczyptę lekkomyślności i chciałbym brać powierzchownie wszystko, co mi się zdarza. Nie mogę!"

Opuszczamy zmęczone analizą oblicza innych męzkich przedstawicieli samogrzebania się i przejdziemy do ogniwa krańcowego. Obłąkaniec ujrzał w studni swój obraz, bierze go za istotę samodzielną i studyuje, aż wreszcie zapałał chęcią zjednoczenia się z nią. W gruncie rzeczy jest to waryat, ale wbrew prawom psychiatryi autor czyni z niego analityka i nawet jako godło utworu stawia hasło, o którem rzec możemy śmiało, że zgoła nie licuje do treści: „dusza, świadoma siebie, pragnie śmierci wściekle, pragnieniem nieugaszonem." A filozofia? „Szczęśliwi ci którzy nie pojmują, że żyjemy w studni; którzy z najpoważniejszą ciekawością rozpatrują łudzące uwagę rysunki na jej ścianach, którzy z dziecinną uciechą wsłuchują się w plusk poruszanej przez siebie fali życia... Szczęśliwi, którzy po za barwą szczegółów nie widzą nicości życia... Szczęśliwi, co, po za dźwiękiem brzękadeł nie słyszą milczenia próżni..." I ciągnie się cała litania urągań życiu.

A typy niewieście? I pod tem kwieciem zagnieździł się robak zwątpienia i trawi soki żywotne, napełnia jaźń niemocą. Źródła choroby bywają różne, ale owoc wygląda jednako. Ratuje je niekiedy uczucie, ale wątły to szaniec w obliczu rozhukanego potoku wewnętrznej nicości. Oto zdenerwowana nauczycielka, pracująca nad siły, może niedojadająca, że już nie mówię o głodzie innych instynktów. Uciekła na wieś, ale mary ją trapią nawet w wiejskiem ustroniu. Rozczytuje się w „kartkach z walki duchowej naszego stulecia," a lubo niezadowolona z bajecznego powikłania sytuacyi, podziwia myśl „wielką," myśl o wzrastającym niesmaku z życia, o próżni duchowej, „której niepodobna zasypać całą górą materyalistycznej wiedzy." I ponad jej okiem staje obraz naszej doby. „Stawali przede mną ci ludzie, co wzięli cały dobytek ludzkości. Duchów chcieli na ziemię sprowadzić i marom bezkrwistym kazali zburzyć jedyne ludzkie schronienie. Szaleńcy! I cóż? Wyszli na te same tory, tylko sterani, z przekleństwem na ustach; niektórzy sił już nie mieli kroczyć stopą zmęczoną i padli przy słupach granicznych, a inni z okiem przygasłem wlekli się o kiju żebraczym!" A w toku rozpamiętywań nasza analityczka zdradza swoją tajemnicę — próżnię wewnętrzną z łaknieniem bezimienności, tym pierw-

---

I nie wiem, jak się to stało, że zaczęliśmy z sobą rozmawiać. Podobno spytałem ją o zdrowie, ona wzajem pytała o to, czego się uczę, o moje zamiary, a u mnie nie wiem skąd brała się wymowa, opowiadałem jej wszystko, co robię, co myślę...

Słuchała mnie, od czasu do czasu podnosząc na mnie oczy i odgarniając włosy z czoła, jakby jej ciężyły.

— Jaki pan szczęśliwy — przerwała mi nagle.

— Szczęśliwy... Dlaczego szczęśliwy?

— Masz pan świat otworem. Robisz to, co chcesz...

— Ba! — zawołałem — albo to człowiek może robić, co chce.

Spuściła głowę. Drobne ręce zacisnęły się z jakąś bezsilną energią.

Zrozumiałem, że jej dobrze na świecie nie było.

Potem rozmawialiśmy już coraz częściej. Ona także mi mówiła o swoich myślach, o swoich marzeniach. Marzenia jej były dziwne, fantastyczne, sprzeczne pomiędzy sobą, jak majaczenia dziecka w malignie. Raz pragnęła być królową zaczarowanych pałaców, mieć na rozkazy skrzydlate sylfy, błyszczeć w złotej koronie i szatach z błękitu, być czczoną, kochaną, rozsypywać w koło szczęście pełnemi garściami, w atmosferze blasków i woni.

Słuchając ją otwierałem wielkie oczy.

— Ależ takich krain niema.

— Cóż stąd. Ja je widzę.

Zrozumiałem teraz wzrok jej, gdy robota opadała na kolana, a ona zdawała się patrzeć, nie widząc tego, co miała przed oczami.

To znów pragnęła horyzontów jak świat szerokich, w których mogłaby objąć myślą wszystko, co istnieje, od drobnych, niedostrzegalnych wzrokiem istot, do mgławic, jakie ukazują najsilniejsze teleskopy. Pragnęła się uczyć i wiedzieć, wiedzieć wszystko.

Alboż się nie uczyła?

Na to pytanie wzruszała ramionami z najwyższą pogardą.

— Ja nie umiem nic wcale, nic, nic, nic...

A gdym pytał dla czego, zapadała w zadumę, smutniała i nie mogłem z niej słowa wyciągnąć. Czasem znów marzenia jej były bardzo proste. Byłaby chciała cichego kąta, pełnego zieleni, pełnego kwiatów. Jakiegoś ogrodu na wyspie bezludnej, odciętej od świata. Tam mieliby tylko przystęp ci, którzyby ją kochali i których kochałaby ona, nikt więcej, nikt, choćby niewiem jak chciał się tam dostać.

— To przecież nie trudno — mówiłem.

Ale ona wstrząsała głową z wyrazem zniechęcenia.

— To schowaj się pani do nas, prosiłem. Urządzimy tu bezludną wyspę.

Uśmiechała się.

— Jesteś pan dobry, panie Antoni. Przecież wiesz sam, że to nie podobna.

Naturalnie wiedziałem o tem.

Były i takie dnie, w których pomagała nam w robocie jak prosta dziewczyna, mówiła, że się musi choć tym sposobem wywdzięczyć za zdrowie, jakiego tu nabyła, a wówczas była najweselszą i śmiech jej rozbrzmiewał srebrnym dźwiękiem.

— Chciałabym być Kasią albo Józią — mówiła.

— Jezus Maryła! — odpowiadały moje siostry. Co też panienka wygaduje.

(D. n.).

szym szczeblem na drodze ku Nirwanie niemocy. „Przebierałam w pamięci białe i czarne paciorki z mej skromnej kanwy i im dłużej je oglądałam, tem więcej malały; gdy zaś i kanwę wyjęłam po włosku, pozostało płótno bez deseni, bez nitki — pozostałam wtedy ja, Wanda Stawiska, „jako taka,“ wyłączona z pod wszelkich warunków otoczenia, społeczeństwa, czasu, ludzi, pracy, bez wszelkich pragnień, bez żalu, lecz z jakimś balastem. Ileż takich „w sobie“ bez śladu ginie tych poczwarek, uczepionych ledwie widzialną nitką pajęczą, z wnętrzem przez pająka wyssanem; forma pozostała doskonale zachowaną — dmuchnąć i w pył się zamieni. I dmuchnąć niekiedy jest trudno, i na to siły potrzeba!“ Rzecz charakterystyczna! Ta żądza zrzucenia z siebie swojej imiennej, nawskróś indywidualnej szaty, to łaknienie zatarcia siebie w bezimiennej masie atomów społecznych zbyt często występuje w utworach ostatniej doby, nawet w tych, gdzie gwarno i hałaśliwie. Leży przed nami powieść z rozwiniętą akcyą, w której może za mało wykończenia i za wiele rzutów i konturów. I otóż podobnie rozmyśla główna postać, kiedy z deptaka codziennego wymknęła się na zamiejską przechadzkę. „Odetchnął! Nie jest już teraz pewnym jakimś lekarzem, praktykującym w Borowie, nie jest mężem pani Maniuty, nie jest sąsiadem Łupińkowskich, nie jest sobą. Jest jakimś atomem całoświata, nie zdającym sobie jasno sprawy z niczego, cieszącym się światłem, słońcem, powiedzmy tem, co żyje bezmyślnie, jak ptak, jak gwiazda, jak słońce.“ Albo jeszcze inny wyjątek z utworu znanego czytelnikom *Prawdy*. „Tu mogę być bezimienny, bezżenny, bezdzietny, bez rodowodu, urzędu, metryki, bez żadnych związków, tytułów, opinii przyjaciół i wrogów... Ach jak to dobrze wyłuskać się z tej skóry społecznej!“ Te tchnienia Nirwany bezimienności zgoła były nieznane namiętnym postaciom średniowiecznym. Nawet opryszek, mający na sumieniu niejedno życie ludzkie i miotający się wśród zgryzot sumienia, nawet on nie zechciałby się pozbyć swojej imiennej szaty. a z niej żądła wewnętrznego. Jak Madej udałby się do samotni, na klęczkach przynosiłby wodę w ustach ze źródła i podlewaniem z maczugi hodowałby jabłoń, lecz pozostałby i chciałby pozostać sobą, ze wszystkiemi ofiarami na sumieniu. I ludzie ci wyzbywają się nietylko swego imienia, lecz co ważniejsza, równie łatwo porzucają przekonania. Kogóż nie wzruszy w *Śmierci* owa spowiedź młodego suchotnika, na łożu śmiertelnem utyskującego, iż utracił swoje „ja“ dziecinne bez świadomości o tem, że je traci? Ludzie dawni byli niby naturalne pączki na drzewie; jeżeli je obca ręka roztrzepie, uwiędną, bo potrzebują rozwijać się same i odrzucają listki dopiero wtedy, kiedy wybiła godzina naturalnej śmierci dla pieluszki dziecięcej. Dzisiejsi, to ów sztuczny wytwór fabrycznego szablonu, jaki zastąpił świeże kwiaty, wtykane przez wiejskie dziewczę do włosów. O! kwiat z farbowanego płótna możemy obdzierać z listków, nie traci on barwy. Ale porzućmy te bezdroża, prowadzące nas coraz dalej od gościńca naszej podróży i obce naszemu celowi, a powróćmy na należytą ścieżynę. Zostawiliśmy nauczycielkę, biadającą nad nicością i złorzeczącą życiu. Ale w głębi jej duszy bije jeszcze czysty zdrój uczucia ku matce i drobnemu rodzeństwu, która woła chleba i wyciąga po niego rączęta. Krok jeszcze dalej, a będziemy w powodzi bluźnierstw bez liku, rzucanych z namiętnym patosem błyskotliwej frazeologii. Oto zbiór nowel: manekiny poruszają się, a raczej perorują, spowiadają się, piszą pamiętniki, a wszystkie dotknięte zarazkiem analizy i jednocześnie manią nadczłowieczeństwa. Istna kryjówka głodu nerwowego, nie tego, który jest głosem krzywd, wyrządzonych ciału, lecz histerycznego, chorobliwego. Z mnóstwa typów wybiorę jedną postać. Zamężna to kobieta, gryząca niecierpliwie wędzidła związku. „Jestem przepalona przez ogień, który nie wybuchł płomieniem, ale tląc się, trawił duszę i dymem dusił — przez nudę, która nie wyrosła z popiołu wrażeń, lecz z niepokoju pragnień — przez chęć wielkich własnych burz, nie zaś lekkiego marszczenia się powierzchni życiowej fali!“ Może zdawałoby się komuś, że mamy przed sobą naturę zdrową i namiętną, nienawidzącą pospolitości i rwącą się do życia. Bynajmniej! To tylko namiętna histeryczka, „duch tułaczy, stęskniony za czemś, co istnieje tylko w perspektywie jego rozwichrzonych pragnień.“ Mężowi czyni zarzuty z jego równowagi, ofiarność jego wydaje się jej nawyknieniem, szlachetny entuzyazm—rutyną, myśl wielka—wypełnianiem pewnej kategoryi obowiązków, żywe poczucie ludzkości — łaskawą filantropią. A zatem precz z tym filistrem, niechaj cierpi, cóż ją to może obchodzić? „Jej prawem jest wolność osobista, najświętsze prawo człowieka!“ Postanawia więc stargać czyjeś szczęście i rzecz charakterystyczna, że z góry wyszydzi jego możliwość dla siebie. „Trzeba jej iść dalej — dalej — ku szczęściu, którego niema, ku wrażeniom wstrząsającym, które trwają chwilę; ku bezmiarowi, którego darmo się szuka; ku upojeniu, które zostawia trzeźwym; ku morzom pragnień, które nie znają urzeczywistnienia. Dalej iść trzeba, dalej! w pogoń za wabiącemi widziadłami, w pogoń za nicością!“ Porzuca więc męża, lecz nie porzuca zwyczaju spowiedzi, bo oto niebawem pisze do kogoś: „Ty nie pojmujesz tej logiki mego jestestwa, która odpędza zmorę bezczynności i nudy i czuje, że ta zmora prześladować ją będzie; która rzuca jedną formę istnienia dlatego, że jest pusta, czcza i jałowa i nie może zatracić w sobie przeczucia, że pustka jest od niej nieodłączna.“ Opuszczamy długie monologi i dłuższe jeszcze duety, gdzie bohaterka, tak łaknąca czynu, kąpie się w potoku frazeologii; nadmienimy tylko, że łączy się z innym mężczyzną i szybko porzuca go bez żalu na pastwę cierpień, chce bowiem dotknąć się „największej nędzy życia — poznać życie.“ Psotne dziecko, które niszczy wszystko dla własnej uciechy i sądzi, że jest to oznaką wielkości, wówczas kiedy figle te są arcymałe i arcyplugawe.

Tak wygląda parę postaci z galeryi bohaterów nowoczesnych. Są pomiędzy jej obrazami jeszcze inne. Jedne, sympatyczne, pociągają swoją szczerą skruchą i wybuchem żalu nad własną nicością; inne, najczystszej krwi opoje nerwowi, dla których czyn nie jest środkiem do czegoś wyższego, lecz narkotykiem, przeplatającym im nudy życia. Ale robak niemocy wszędzie się zagnieździł. Kiedy je oglądam w takiej mnogości, bierze mnie niepowstrzymana chęć wyprawienia im sabbatu. Zaprosiłbym na wspólną ucztę tych pesymistów, czujących niechęć ku rzeczywistości i zapatrzonych w wyśnione mary bez ciała i krwi; te głodomorki nerwowe, uważające, że Nietzscheńskie *hart sei!* jest najwyższą cnotą, wówczas kiedy ono bywa sankcyą drapieżnych, samolubnych pazurów; te duchy, kąpiące się we własnem „ja“ lub gryzące serca innych ku większej chwale swojej wielmożnej osoby. Z czytania tych monologów wyniosłem wrażenie, że sabbat ów byłby farsą, pełną pozy i flirtu. Każdy udawałby mędrszego i krytyczniejszego, zjadliwszego i dowcipniejszego, niż inni. Powróciwszy do swych kryjówek, wziąłby się do nicowania sabbatu, na którym wystąpił w tak mizernej roli. Ten był mięczakiem, ów — papugą, tamten — szczygłem. Tylko on jeden był dzikiem a swobodnem zwierzęciem, które wprawdzie flirtowało i pozowało, ale to tak sobie, dla zabawy... U wielu bowiem z pośród tych jaźni rozpaczających nie mogę jakoś dostrzedz szczerości; flirtują one z Nirwaną, podobnie jak czynią to w miłości i we wszystkiem; jedynie niesmak życia i męczarnie analizy są tam istotne. Ale pomiędzy niemi zdarzają się takie, które nie kłamią. Tych mi żal szczerze. A zastęp musi to być spory, kiedy tak tłumnie wtłoczył się do literatury. Mimowoli, na ich widok, pląsa przede mną faun kapitoliński, nieokrzesany w swej brutalnej żądzy użycia, ale drgający mocą i zdrowiem i z pewnością wrażliwszy na cierpienia innych i nieszydzący z nich. Marmur, w jaki go zaklął rzeźbiarz starożytny, ożyłby, postawiony w obliczu tych chodzących trumien pożerającej analizy, pierś jego zapałałaby rozkoszą życia, noga uderzyłaby w bachiczny rytm młodości, krew bujna nabiegłaby do żył, a ręce trąciłyby do skoku krążki dźwięczne. I kapitoliński faun hasałby nad rozpaczą dni naszych i buchałby świeżem życiem...

Bohaterzy „najmłodszych“ są bez przeszłości. Płoszowskiego niepodobna pomieścić w ich rzędzie, to natura obca, „nieobecna.“ Jedynie Prus, najwrażliwszy z naszych pisarzy na prądy miejscowe, podniósł sprawę wewnętrznej pustki w stosunku do szerokiej fali życia. Jego Wokulscy i Solscy borykają się z próżnią. Ale nie przyrównywajmy ich do pokolenia analityków, zrozpaczonych i histeryków; są bowiem naturami silnemi, usychającemi jedynie z braku ożywczego powietrza i promieni słonecznych.

K. R. Żywicki.

ODCZYTY.

Aleksander Palmirski, *Życie jako przedmiot nauki.*

Ogół nasz inteligentny i nawpół inteligentny bardzo słabe ma pojęcie o przyrodzie i jej skarbach, o życiu i walkach ukrytych, o rozwoju i pracy w świecie roślinnym. P. Palmirski wziął jedną wielce ciekawą kartkę z tej olbrzymiej dziedziny i dał ją słuchaczom w formie przystępnej, ilustrowanej obrazami rzucanymi na ekran. Na pozór nawet ubogie okolice Warszawy, do których od czasu do czasu mieszczuch się wychyla i nic tam nie widzi szczególnego, dla przyrodnika przedstawiają dość ciekawy grunt do spostrzeżeń i dają wielokrotnie już stwierdzone dowody, że życie przenosi się z miejsca na miejsce. Kto np. słyszał o *ciernikach* w okolicy miasta naszego? Są to żwawe, zwinne rybki, w strumieniu na prawo od szosy belwederskiej, prowadzącej do Wierzbna. Znajdują one tam bardzo przyjazne warunki dla swego rozwoju, ale tu nie powstały, lecz przybyły z innych okolic. Cierniki zamieszkują morze północne i stamtąd dostały się do rzek, następnie przy rozlewach wiosennych — do stawów i wód stojących. Jednym ze sprzyjających warunków ich rozwoju są kolce ostre, które się najeżają na widok zwierza drapieżnego. Budują one z roślin wodnych bardzo misterne gniazda dla swego potomstwa.

W stawie czerniakowskim, tuż za mostem, łatwo można dostrzedz wielką ilość mięczaków, pokrywających kamienie i gałęzie, pogrążone w wodzie. Jest to również bardzo ciekawy przybłęda (*dreisena*), który wraz z ciernikiem przybył z tych samych okolic.

Te i wiele innych przykładów przekonywają, że dobre warunki zewnętrzne mogą się tylko przyczyniać do rozwoju życia, lecz samodzielnie wytworzyć go nie zdołają. Dawniej panowały inne przekonania co do istoty życia; nawet ludzie uczeni

przypuszczali, że stworzenia żywe mogą samoistnie z natury martwej powstawać; mniemano np., że żaby lęgną się z mułu rzecznego, robaki z gnijącego mięsa itd. W nauce ten sposób powstawania istot żywych zwano samorodztwem. Ściślejsze spostrzeżenia prędko ten pogląd obaliły; wskazały, że zwierzęta i rośliny tylko z zawiązków i nasion powstawać mogą. W ostatnich czasach zdołano udowodnić, że nawet istoty dostrzegalne za pomocą bardzo silnego drobnowidza, tylko od sobie podobnych powstawać mogą. Natura w chwili obecnej nigdzie już życia nie wytwarza, przeciwnie, stara się tłumić je tam, gdzie ono istnieje. Dość jest zastanowić się nad życiem pierwszego lepszego zwierzęcia, aby dojść do przekonania, że całkowita jego działalność wytężona jest ku ochronie własnego istnienia od niszczących czynników zewnętrznych. Wszelkie właściwości życia wskazują, że nie powstaje ono z żadnej z sił, wywołujących zjawiska w naturze martwej i odwrotnie — w żadne z nich się nie przekształca. Nauka współczesna przyjmuje, że życie wytrysło kiedyś i gdzieś na powierzchni ziemi, a następnie z tego pierwotnego zbiornika zaczęło się po niej rozpełzać, jako *rzecz obca* pozostałej przyrodzie.

Pomijamy obszerny wykład prelegenta o zjawiskach biologicznych, wielce obrazowe scharakteryzowanie zarodzi, przykłady plastyczne dla utrwalenia przedmiotu w pamięci słuchacza. Zatrzymamy się tylko nad jednym znamiennym obrazem stosunku roślin do zwierząt. Pierwsze nietylko wytwarzają materye organiczne; są one także i spożywcami; tworzą jednak znacznie więcej, niż zużywają. Rośliny możnaby pod tym względem porównać do cukrowni, która produkuje cukier, lecz jednocześnie pewną jego część zużywa na zaspokojenie potrzeb oficyalistów. Wzajemną zależność zwierząt i roślin, a raczej istot chlorofilowych i bezchlorofilowych, trudno jest dostrzedz w naturze, bo przedmioty bardzo wielkie, jak i bardzo drobne, równie są dla naszego oka niedostępne. Zależność ta najbardziej się uwydatnia w akwaryach. Woda, wlana do tego zbiornika, wkrótce mętnieje, liczne zaś trupy zwierząt i roślin dają wymowne świadectwo, że mieszkańcom jego niezbyt dobrze się powodzi. Stopniowo jednak po pewnym czasie wszystko wraca do należytego porządku. Woda staje się przezroczystą, a pozostałe rośliny i zwierzęta cieszą się dobrem zdrowiem. Bywa to wtedy, gdy ilość pierwszych ustosunkuje się do ilości drugich. Materyał surowy utrzymuje się w ten sposób, że płynie nieprzerwanym strumieniem od zwierząt do roślin i odwrotnie. Ten sam zasób materyi, ustawicznie tylko przerabiany, służy do potrzeb kolejno następujących po sobie pokoleń. Staje się więc tak, jak w następującym obrazie, skreślonym przez jednego z myślicieli. „Ktoś może pochwycić rybę na robaka, który się karmił królem i spożyć rybę, która tego robaka połknęła, a w ten sposób król może przejść przez wnętrzności żebraka.“

Wszystko, co prelegent powiedział o życiu, daje się streścić w sposób następujący: Tajemnicza siła, rządząca zjawiskami natury żywej, umiejscowiona jest w żywej protoplazmie, wraz z nią rozpływa się po powierzchni ziemi, chroniąc się od wygaśnięcia jedynie ustawiczną, niezmordowaną pracą żywych istot. Każde pokolenie przenosi życie na pewną odległość i zostawia następców, którzy tę samą pracę w dalszym ciągu prowadzą. Wszystko, co czyni ich zależnymi od tej pracy, stanowi właściwość materyi, z której się składają. Gdy pomijając przyczyny, o których nauka nic powiedzieć nie może, zechcemy sobie zdać sprawę z ogółu zjawisk życiowych, możemy swoje wiadomości w następujący sposób wyrazić: W roślinach przy udziale promieni słonecznych wytwarzają się materye organiczne, tj. pośrednie ogniwa, łączące nieprzerwanym materyalnym związkiem naturę martwą i żywą. Materya organiczna zaspokaja wszystkie potrzeby natury żywej. Wydziela utajoną w sobie siłę promieni słonecznych, dając w ten sposób każdej roślinie i każdemu zwierzęciu zasób siły, przy której pomocy może pokonać przeszkody, przez naturę martwą stawiane.

Zn.

OBRAZY I OBRAZKI.

I.

Myślicie, że to rzecz łatwa wysłowić własny swój sąd o *Szale* Podkowińskiego? Boć to przecie nie sztuka powiedzieć, że w nim artysta odniósł walne zwycięztwo i podbił sobie raz na zawsze opinię. Każdy bowiem widzi jasno, że gdy przedtem jedni, nieliczni, go zachęcali i usprawiedliwiali, większość litowała się nad nim krokodylemi łzami. Niedaleko szukając, prof. Gerson, ideał, mimo wiek sędziwy, wszystkich panien, skazanych na wieczny celibat, jak Ochorowicz jest ideałem wszystkich histeryczek — rozdzierał szaty na sobie, że taki oto młody i „nie bez zdolności“ malarz tak się marnuje i zamiast zostać porządnym starym trykiem, chce koniecznie być stepowym źrebcem. To jest, ja nie powiadam, że czcigodny „nestor naszych malarzów“ użył tego pojęcia lub wyrażenia „ogier“ albo podobnego. Uchowaj Boże! do takiej nieprzyzwoitości nie zniżyłby się on nigdy; po prostu ubolewał estetycznie, dekoracyjnie, jak ubolewać winien każdy czciciel haftowanego pantofla na widok człowieka, któremu wygodniej chodzić boso, albo tylko w skarpetkach.

Słowem, że decydujące znaczenie „Szału“ jest rzeczą widoczną dla wszystkich i nawet dla Towarzystwa zachęty, które pewnie ze wstrętem zawiesiło na swych ścianach tak podły obraz, ale z mniejszą pewnie odrazą zgarnia do kieszeni kopiejki płynące bardzo obficie, ale to tak obficie, że podobnym dochodem poszczycić się nie może nawet urocza fantazya prof. Gersona, wisząca w salonie Krywulta. No, po prostu ścisk i natłok i skrzydlate pochwały i nagany takiemi chmarami lecą przez powietrze, że człek sam przestaje w końcu wiedzieć, co o malowidle trzymać.

I tak naprzykład powiada do mnie pewien pan, który sam trochę maluje i odważnie urąga zasadzie: *cacatum non est pictum*, a nadto jest obywatelem niezmiernie moralnym od czasu, jak niegodziwa fatalność uczyniła go wielbicielem płci pięknej czysto platonicznym.

— Wie pan, nie pojmuję jak można pokazywać tłumowi twarz tak wyuzdaną, tak bezwstydną, alеż ta kobieta wyraźnie tuli się do konia, jakgdyby chciała naśladować Senuramidę.

Pewna znów dama, która dużo czyta i ma nader wyrobiony sąd o dziełach sztuki, właścicielka tysiąca zalet i jednej tylko wady, że nie może znosić literata w nieświeżym kapeluszu i bez rękawiczek, odezwała się głośno.

— Fe, jak mi się to nie podoba! I dalejże krytykować ze znajomością rzeczy sam pomysł, koloryt i rysunek. Uczyniła mi nawet zaszczyt zapytania się o moje zdanie, to też wypowiedziałem je ze skupieniem i dobitnie:

— Dla mnie to jest arcydzieło...

Wiedziałem wprawdzie, że sobie tem wyrzeczeniem tak zaszkodzę, jakgdybym miał na głowie kapelusz już nie wytarty, ale wprost dziurawy, ale Bóg świadkiem, że pokusy zwyciężyć nie mogłem. Rozstaliśmy się więc chłodno, a ja wzgardzony jak ostatni kretyn, poszedłem dalej łowić krytyki.

Młody i elegancki mój przyjaciel, który widział w swem życiu dużo waty, łykał formalnie ślinkę na widok cudownych, pełnych kształtów kobiety, wymalowanej przez Podkowińskiego, i tak się kręcił między ludźmi, jak gdyby chciał czemprędzej dowiedzieć się o jej adresie. Zgadując, że w gorączkowej swej sensacyi, nie oszczędzi i mnie uniesień i zachwytów, zagadnąłem pierwszy, kiwając głową:

— To ci świństwo dopiero wystawili! i jeszcze każą sobie płacić za to.

— Znasz się — odparł szybko — a ja ci powiadam, że dużo bym dał, żebym mógł być na miejscu tego konia... A w każdym razie zamówię u Podkowińskiego coś podobnego do swego gabinetu. A szelma, jak on maluje, to przecież lepsze od Żmurki!

— Ee, przesadzasz! — oburzyłem się — blaga i nic więcej .. mógłby Żmurce buty czyścić.

— No, być może, i pewnie wiesz, dlaczego tak mówisz, ale mnie ona dyablo przypada do gustu.

Z tego może już czytelnik mieć dokładne pojęcie o moim poglądzie na „Szał.“ Uważam go, krótko mówiąc, za coś pośredniego między... arcydziełem a paskudztwem.

Ale to tylko w rozmowie; i proszę nie czynić mię odpowiedzialnym, jeśli pod wpływem świerzbiączki, silniejszej ode mnie, na ulicy czy w towarzystwie wzbijam się aż niebotycznych superlatywów pochwały, albo udaję pełzanie, z obrzydzeniem na twarzy, po błocie niesmaku. To nie moja wina, ale płótna, o którem mowa, albo raczej jego zasługa. Ma ono w sobie jakąś złą siłę, która się udziela przychylnemu widzowi i napełnia odrazą dla wszystkich dorywczych, tanich i płytkich ocen. Stając przed niem, czujesz, że będzie kamieniem obrazy dla wszystkich tych, co się minęli z powołaniem i zamiast być listkiem figowym, zostali arkuszem bibuły, pijącej z powietrza wszelką wodę. Tkwi w tem coś drażniącego i swędzącego, że większość, posłuszna, jak zwykle, hasłu *Kuryerków* i wzmiankom o „wielkich rozmiarów obrazie, będącym na ukończeniu,“ zapomniała, iż rok lub dwa temu pstrzyła prace Podkowińskiego taką masą docinków i płaskich żartów, jak wedle wyrażenia Krasińskiego, po białym marmurze rzeźby skaczą pchły krytyczne.

Prawda, że artysta ten uczynił w „Szale“ ogromny krok naprzód w mozolnym i dręczącym procesie klarowania sobie własnych chęci i uczuć, ale te chęci i uczucia, w których nigdy nie było ulicznej ani salonowej pospolitości, były już i dawniej dostrzegalne i powinny były kłaść sławie tamę szyderstwu. Zapewne, jakiemuś Franciszkowi Eismondowi noga nie pośliźgnie się nigdy, bo to już jest gatunkowa, przyrodzona wyższość ludzi, uprawiających w sztuce pięknej gawalewizm (mamy i takie systemy). Jego milusińscy, malowani z fotografii, wystawieni pod szkłem, pozbawiają wprost przytomności wszystkie bezdzietne matki. Są oni kłamstwem uosobionem i uosobioną poprawnością, ale rozkoszą dla korzenników. Podkowińskiego zaś płótna dawniejsze, jak „Taniec szkieletów,“ albo pamiętna „Ironia“ z krwawem sercem, były dziwactwem i grzechem przeciwko dobremu smakowi. On sam nie wiedział, czego chciał i dziś jeszcze nie zupełnie wie, ale obce i badawcze oko wyczuwało tam jakieś głuche, pół-mroczne pragnienia, jakąś pogoń za niezwykłością, istotną odrębność, co już samo przez się ma większą cenę w ogólnej powodzi upodobań powszednich. Wystawy nasze, to mozajka kolorowa, której ogólny deseń i charakter nigdy się nie zmienia, jeno co najwyżej dawne kostki zastępuje się świeżemi. Wiemy z góry, kto i co namaluje,

każdy ma swój rodzaj ustalony, uwierzytelniony, znany, a przecież niema na świecie rzeczy marniejszej, nudniejszej, jak ten „rodzaj“ i ta płynąca zeń niemożliwość niespodzianki, paradoksu, nagłego odskoku od maniery, który najczęściej bywa nagłym rozrostem drzewa, przybyciem nowej gałęzi.

„Szał“ nie spodoba się na pewno tym, co mają w sobie choć odrobinę klasycyzmu, nie mówiąc już o tych, co mają nerwy za tępe, żeby módz połapać się w delikatnym światłocieniu czyjegoś ducha. Przedewszystkiem jest nawskróś fantazyą; w wielu swych momentach zbliżając się niby do czegoś prawdziwego lub prawdopodobnego, zachowuje jednak całą samotność i niezależność własnego urojenia. Potwór, niosący w górę nagą kobietę, przypomina głową, piersią i przedniemi nogami konia, a grzbietem, zadem i tylnemi nogami podobny jest do pantery, tygrysa lub wielkiego psa. Nadto jedna z tylnych nóg jest blizko dwa razy dłuższa od drugiej, co wątpię, ażeby leżało w zamiarze autora. Dolna warga i szczęka są tak cienkie, że ich za płatkami piany z trudnością domyśleć się można. I wogóle sporo tu szczegółów, które możnaby sobie tłomaczyć dwojako, albo że rozmyślnie gwałcą rysunek przez lekceważenie prawideł szkolarstwa, albo że innemi artysta uczynić ich nie mógł. Nie widziałem, ażeby Podkowiński malował kiedykolwiek konia, więc wolno przypuszczać, że w tym kierunku wprawy i pewności niema i, co za tem idzie, że swą bestyę z musu zrobił takim mieszańcem. Tem możliwsze jest to, że na większej harmonii ciała zwierz ten zyskałby, a z nim i cały obraz. No, ale takie zarzuty byłyby słuszne tylko ze stanowiska pedanteryi.

Zastosujmy miarę inną, sądźmy wedle ogólnego, bezpośredniego wrażenia, patrzmy na całość, nie na cząstki. Malarz rzucił w przestrzeń wściekły poryw, jak kłąb wichru albo głównię pożaru, więc sprawdzać jego linie centymetrem może tylko człowiek, który zamiast spozierać w czyjeś serce, liczy guziki. Obraz ten, więcej niż każdy inny, ma swoją własną estetykę, bo jest całkiem oryginalny i po prostu każe pić siebie jednym wielkim haustem, a nie sączyć po kropelce, jak likier. Nie słodycz bowiem spokojnego tworzenia rozlała się po nim, lecz go przenika drgnienie błyskawicy i drgnienie konwulsyi. Zwierz czarny, szatański, z wywalonym wściekle językiem, pokryty pianą, z grzywą długą i rozwianą, jak burzliwa chmura Farysowego latawca tchnie siłą, dzikością i polotem swego bliźniaka z Apokalipsy. Ma to być niby wcielenie złych namiętności, porywających kędyś kobietę—objaśniają niektórzy. Tylko że on sam zdaje się ulegać woli swej pani i ziać gniewem. Ślepie, ogromne i straszne, wysadzone prawie zupełnie z orbity, zwraca ku niej i sądzićby można, że w pętach tej miłosnej furyi uwodzicielki przechodzi męczarnie. A ona? Przymknąwszy w omdleniu oczy, pozwala niby wzdymać się burzy uczuć w swem łonie i straciwszy pamięć świata i ludzi, mknie — dokąd? Sama pewnie nie wie, ale dosyć że pędzi, pół-przytomna, prawie bezwiednie siedzi na swym czworonożnym demonie i luźno obejmuje jego szyję. Wyraz jej twarzy to obraz zapomnienia lubieżnego, albo raczej snu czarownego, w którym dusza, wpatrzona we własną głąb', daje się łaskotać widzeniom i czuciom rozkosznym, jak uściskom i pocałunkom kochanka, błagając tylko, żeby trwały jaknajdłużej. Jest ona zresztą stworzona do pieszczoty graniczącej z obłędem: posiada ciało cudowne karnacyą i mistrzowskie rysunkiem. Nawet widz najmniej obyty z tego rodzaju postaciami, musi odczuć ten czar, blask, świeżość i złocistość bioder i lędźwi, wytworność konturów. To prawdziwy przepych natury, urągający wszelkiej rzeczywistości... Tak wyglądać mogła chyba tylko Leda w chwili, gdy ją Jowisz zmieniony w łabędzia pieścił, albo jakaś Dyana z Poitiers. Jest to prawdziwa wspaniałość płci, połączona z wysokiem i delikatnem pięknem budowy. Z pewnością mało ludzi w Europie taką cerę i taką linię zrobić potrafi.

Ale dolna część nogi od kolana do palców wydaje mi się za sztywna, a barwie ognisto-żółtej włosów rozwichrzonych żadną miarą przyklasnąć nie można. Są one wprost nieprzyjemne.

Być może, że w „Szale“ tym widzę więcej treści, niż on jej zawiera. Jest bowiem więcej zagadkowy, niż czytelny i podłożyć pod niego tekst — trudno. Jeszcze nie wniknął w siebie należycie Podkowiński, jeszcze działa napomknieniami i akcentami więcej, niż formą plastyczną; często też one się z sobą kłócą i psują jedność pomysłu. Tak np. zwierz sprawia spojrzeniem swem wrażenie wprost przykre, bo takie, jak gdyby mu ktoś oko wyłupił, i tworzy dysonans z upojeniem kobiety, przywodząc bezpotrzebnie i z ujmą dla dzieła na pamięć rozmyślną grozę, lodowaty dreszcz dekadentów.

Wogóle niepodobna przeoczyć tu pewnych, może całkiem przypadkowych odblysków symbolizmu francuskiego, głównie w skojarzeniu erotyki z okropnością, ale u Podkowińskiego ma ono cechę świeżości, siły młodej i nieużytej jeszcze na kwiaty złego; znamionuje w nim głównie potężny impet wewnętrzny, zuchwałe parcie się na wyżyny, śmiałą napaść na pęta, krępujące twórczość malarską, gwałtowną chęć wypowiedzenia przez nią motywów silnych, wstrząsających i nieokiełznanych.

Cezary Jelenta.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

W OBRONIE WŁASNEJ.

Mielczarków wolę. Bo kiedy dobierają się do czyjejś kieszeni, przynajmniej nie układają swojej twarzy w słodki wyraz i nie usiłują mnie przekonać, że czynią to dla mojego dobra. Innej taktyki używają różni panowie, którzy podjęli się dostarczania nam węgla, cukru, butów. I oni posiadają wilczy apetyt na naszą krwawicę, lecz zagłębiając rękę do czyjejś kieszeni, dowodzą, żeśmy powinni chętnie oddać im ostatni grosz i jeszcze czuć radość, iż złożyliśmy ofiarę na ołtarzu dobra publicznego. Świeżo z taką propagandą ofiarności wystąpił ktoś w *Słowie* pod bezimienną przyłbicą „ziemianina-cukrownika.“ Zaprawdę, gdybym posiadał miękkie serce i jeszcze podatniejszą głowę, nic pozostałoby mi nic innego, jak nadziać włosienicę i czynić wieloletnią skruchę za popełnione grzechy: wszak zdaniem kaznodziei byłem jednym z tych, którzy dobrobytowi narodowemu uwiązali do szyi kamień młyński i chcieli rzucić go w nurty rzeczne... Jedno mnie tylko zdziwiło. Znam naturę naszej prasy: chociaż gotowa na każde zawołanie kopnąć nogami umierających lwów, bywa pokorną względem swojskich plutokratów! I dla cukrowników nie czyniła wyjątku. Napisałem kiedyś korespondencyę o stosunkach cukrowniczych z zagranicy. Chodziło o Niemcy, ale redakcya zwąchała, że w moim artykule coś może się ukrywać niemiłego dla naszych możnowładców produktu cukrzanego i naturalnie troskliwie wycięła podejrzane ustępy. Jak widzimy, względność wielka. A jednak nawet ta biedna, pokorna prasa została pociągnięta ryczałtem do odpowiedzialności. Jeżeli nawet ona zawiniła, to chyba nasz ziemianin-cukrownik zanadto dużo wymaga od ludzi...

Rzeczywiście, wymaga bardzo wiele. Żąda nawet, abyśmy w takiem sprzysiężeniu wytwórców przeciw kieszeni spożywczego ogółu, jakiem są syndykaty cukrownicze, przyznali ni mniej ni więcej, tylko akt „poświęcenia wszystkich fabrykantów.“ Nie znam ani jednego poważniejszego ekonomisty, któryby spisków takich nie uważał za karygodne, ale widocznie miara może być nader rozmaita... Nie dość tego. Nasz rzecznik poświęcaniu się spożywców ku większej zawartości sakwy cukrowniczo-ziemiańskiej rzuca gromy nietylko na takich warchołów, którzy sądzą, że kraj powinien nie dbać o zyski akcyonaryuszów, ale nawet na swoich współszeregowców. „Fałszywe światło — czytamy w owym artykule, noszącym na sobie znamię odezwy do spożywczego ogółu — rzucone na przemysł cukrowniczy przez prasę i przez przedsiębiorców budowy nowych fabryk, ma źródło swoje w znacznej części w trudnej do pojęcia miłości własnej lub lekkomyślności samych fabrykantów. Jest wielu takich, którzy przy układaniu bilansu rocznego tylko jedno mają na myśli: wykazać możliwie jak najświetniejszy rezultat — to im zaszczyt przynosi.“ W innem miejscu dowiadujemy się, że administracya powiększa zyski swoje na papierze — w trójnasób i takie fantastyczne obrazy podaje do wiadomości powszechnej. Doprawdy, świat przewraca się do góry nogami! Dziwni to ludzie ci cukrownicy! Gdy na nich „źle poinformowana prasa“ miota przekleństwa i wyrzuca im wielką dywidendę, gdy ziemianin-agronom wykazuje, że cukrownie chylą się do bankructwa, wówczas oni, niby hiszpańscy pogromcy byków, z chustą czerwoną, wychodzą przed ogół spożywczy, celowo podają swoje dochody wyżej, aniżeli mają rzeczywiście, i głośno chwalą się z pobieranego haraczu. Zdawałoby się, że cała teorya ekonomii politycznej i cała praktyka geszeftu winny udać się do naszego kraju i podziwiać tych bezinteresownych mężów, a raczej oślepionych, którzy ściągają burzę na swoją głowę i na swoją kieszeń.

Autor odezwy zwraca się do „całej poważnej i uczciwej prasy, nie spekulującej na zdobywanie sobie czytelników przez sensacyę, lecz pragnącej oprzeć się na rzeczywistych danych“ i zaklina, „aby opierając się na cyfrach pojedynczych, zatem dających mylne pojęcie o rzeczy, nie drażniła lekkomyślnie stosunków i nie usposabiała nienawistnie czytelników“ przeciwko zyskom ziemian i cukrowni ziemiańskich; — te ostatnie wyrazy są naszą własnością i winny zastąpić górnolotną frazeologię w kierunku dobra ogólnego. Otóż, chociażbym miał zyskać miano warchoła i nieuczciwego, jakoś nie mogę dać posłuchu głosowi ziemianina-cukrownika. Jestem o tyle samolubny, iż wolę, aby parę rubli, które rocznie zaoszczędzę na cukrze, zostały użyte przezemnie chociażby na kupno cieplejszej odzieży, aniżeli na wystawniejsze święcone u plantatorów buraków lub producentów cukru. Zresztą życie mi pokazało jeszcze inne wzory. Cukier jest bardzo potrzebny dla organizmu dziecka. Maleństwo, wyciągające rączęta po kawałek słodyczy, działa pod wpływem bardzo racyonalnego instynktu. A przecież ileż to pamiętam przykładów, kiedy małe nieboractwo musiało kraść ten przysmak z cukierniczki, bo kieszeń rodziców kazała im go ograniczać. Wolę więc, aby dziecina zjadała jakiś kawałek cukru codziennie z uszczerbkiem dla wysokich dywidend. Otóż z tego powodu nie będę ani sprawdzał cyfr przytoczonych (niechaj będą najprawdziwsze, co mnie to obchodzi?), ani też nie będę rozbijał baniek mydlanych dobra ogólnego; — zostały one tak rozdęte,

że same z siebie pryskają. Zwrócę uwagę tylko na jedno. Cukrowni u nas jest sporo, a mimo że jedne „poświęcają się dla innych“ w postaci syndykatów, pomiędzy niemi toczy się walka. Są mniejsze, „ziemiańskie,“ znajdujące się w gorszych warunkach i pobierające małe zyski, są inne, „kapitalistyczne,“ mimo narzekań na złe czasy, ciągnące sowitą dywidendę. A nadto przybywa wiele nowych i zwykle tamtego typu. Konkurencya wzajemna wzmaga się i naturalnie wśród niej zwyciężają te, które są zdolne do coraz dalszego obniżania ceny swoich wytworów. Odezwa ziemianina jest właśnie głosem tej kategoryi, skazanej przez warunki rynku na porażkę. My, ogół spożywczy, w imię dobra publicznego, winniśmy składać groszową jałmużnę w postaci wyższej ceny za cukier, dziennikarstwo zaś maskować ten haracz za pomocą frazesów o dobrze publicznem, ażeby tylko gorzej postawione zakłady zdołały dalej wegietować! Ktoś może złapać się na taki lep, ale chociażby te maleństwa, zmuszone ukradkiem dobierać się do cukru, nakazują nam stanowczo oświadczyć, że niechaj giną zakłady mało procentujące i niech pozostają na polu bitwy ekonomicznej te, które pobierają duże zyski i dają tem samem możliwość dalszej zniżki cukru. Dla cukrownictwa nie potrzebujemy sprzeniewierzać się zasadzie, którą wyznajemy w zakresie piekarstwa lub innego procederu. „Ziemianin“ grozi nam, że one wtedy podwyższą cenę! Tego się nie obawiamy. Ze źródła takiej to waśni konkurencyjnej płyną też owe zarzuty cukrowniom, że za świetnie przedstawiają swoje dochody.

Autor odezwy wystąpił *pro domo sua* w przyłbicy powszechnego dobra. Co do mnie, wystąpiłem w tem samem imieniu, ale bez owej przyłbicy. Jestem samolubem, który jasno powiada, czego chce. Co najwyżej wziąłbym do pomocy ową tak liczną dziatwę, wynoszącą może z kilkaset tysięcy, jeżeli nie więcej, głów a łaknącą przysmaku, zbyt drogiego dla rodziców. Czy „ziemianina“ też nie wzruszy widok tego zastępu? Chyba warto dla niego poświęcić niższe pod względem technicznym zakłady.

J. Wojewódzki.

LIBERUM VETO.

Wartość bajki dla poezyi i dla postępu umysłowego.— Właściwy dla niej grunt i atmosfera. — Pojawienie się jej kwiatków w literaturze. — Przysmaki naturalizmu i głos czasu. — O wadze i wzroście dzieci klas biednych w Warszawie.— Dziwne widowisko na wystawie sztuk pięknych i jeszcze dziwniejsza obrona. — *Corso* kwiatowe. — Podróż do Antwerpii pieszo.

Włodzimierz Wysocki wydał w Kijowie swoje bajki i satyry. Większą część utworów tego zbiorku drukowała *Prawda*, a ponieważ przy tem niewątpliwie znajdzie on się w ręku wielu naszych czytelników, więc nie będę podawał treści tych prześlicznych często obrazków. Chodzi mi bowiem głównie o zaznaczenie wartości bajki w literaturze współczesnej. Pewien poważny jej badacz, mówiąc ze mną o pewnym utworze fantastycznym, zauważył: forma ta już należy do przeszłości, teraźniejszość z nią się nie pogodzi. Uwaga ta wydała mi się dziwnie powierzchowną i — że tak powiem — modniarską. Bajka bowiem — a przez ten wyraz pojmuję wszelki mit, wszelką przędzę fantazyi, niewysnutą z wątków realnych — pozostanie wiecznym strojem poezyi, której bez przenośni, bez porównania, bez symbolu, poprostu nie możemy sobie wyobrazić. Co to: „Jakże cudowna jest śmierć i jej brat sen! Ona niby niknący księżyc z wargami ponurego błękitu, on różowy jak poranek, gdy wstąpiwszy na fale oceanu, rumieni się nad światem“? (Shelley). Co to? Bajka. A to:

Już góra z piersi mgliste otrząsa chylaty
Runnym szumi namazem niwa złotokłosa,
Kłania się las i sypie z majowego włosa
Jak z różańca Chalifów rubin i granaty.

To także bajka, bo ani góra nie otrząsa chylatów, ani las nie kłania się i nie sypie rubinów z granatami. Byłoby zaś nielogicznością przyjmować pewną postać wyrażenia myśli i uczuć za piękną i zasadną w małym obrazku a za brzydką i bezzasadną w wielkim. Jeżeli pewnej natury człowieka nazywamy gadem lub szatanem, to z równą słusznością możemy usymbolizować jego życie w historyi gada lub szatana. I to będzie piękny a czasem jeszcze piękniejszy utwór, niż najrealniejsze malowania — z dokładną anatomią, psychologią i geografią bohatera. Nie dość tego. O ile poczya przyczynia się do postępu społecznego i umysłowego, rzec można, że najwspanialsze ideje i najwyższe cele dążeń ludzkich wyprowadziła ona na świat w formie bajki. Nieraz nawet w żadnej innej ukazać się one nie mogły. Często słyszymy powtarzane zdania o wielkim wpływie *Cyrulika sewilskiego* Baumarchais'go, *Dyabła kulawego* Lesage'a lub *Pięknej Heleny*. W twierdzeniach tych może być wiele przesady, ale że tkwi w nich ziarno istotnej prawdy. to nie ulega wątpliwości.

Bajka, jako postać twórczości poetyckiej, rodzi się szczególniej obficie na gruncie literatury w czasach przełomu, walki, ścierania się żywiołów, zasad i systemów. Jest ona wtedy krytem łożyskiem potoku myśli, który wrył się głęboko na pewnej przestrzeni, ażeby dalej znalazłszy swobodne ujście, znowu wypłynąć na wierzch. Po tryumfach i orgiach naturalizmu, który przez powieść przeprowadził sieć kanałów, odprowadzających wszelkiego rodzaju nieczystości i tak dalece zapanował nad umysłami, że każdy starał się wlać do literatury bodaj szafliczek pomyj, zdawało się, że biedne, wyśmiane, deptane, z korzeniami wyrywane kwiatki bajki już na zawsze znikną z dziedziny twórczości poetyckiej. Tymczasem odżyły one i coraz śmielej wychylają swe barwne główki. Ich wzrostowi zaś sprzyja nietylko tęsknota dusz do czegoś, co nie gnije, nie cuchnie, nie odraża i nie przeraża, ale także sama atmosfera czasu, pragnącego i potrzebującego symbolów. Nie pozwala on prawdzie chodzić nago, albo też ona go się wstydzi i boi, dla tego przywdziewa szaty, które ją tak dalece okrywają, że nieraz trudno pod niemi rozpoznać dokładnie jej kształty. Trzeba o tem pamiętać, że nigdy życie rzeczywiste nie zapewnia umysłom tyle swobody, ile świat fantazyi. Żartobliwa uwaga Heinego, że on swoje myśli przewoził bez cła, nie jest bynajmniej pustym konceptem. Najpospolitszy „wzgląd przyzwoitości“ jest tak potężną tamą, tak mocnym łańcuchem, że on sam jeden zdoła powstrzymać myśl w śmielszych ruchach. A im takich „względów“ jest więcej, tem ona skrępowana bardziej. W bajce one prawie wcale nie istnieją. Lew, lis, jagnię, Jowisz, Cybela, dyabeł, Lewiathan, smok, człowiek bez tabliczki z oznaczeniem miejsca i czasu, dziecko z głową mędrca, kobieta nieosmażona w cukrze konwenansu — wszystkie te postacie, nieistniejące w rzeczywistości, nieuprzywilejowane, nieobdarzone żadnem prawem wyjątkowem, oddane są do swobodnego rozporządzenia wyobraźni, która może robić z niemi, co się jej podoba. A jej podoba się przedewszystkiem przetłomaczyć życie na język tego świata bajki.

Epoka nasza, uraczona przysmakami naturalizmu idealizmu, po których dostała mdłości, wzdycha już bardzo wyraźnie do lotnych a ożywczych napojów fantazyi. Tu i owdzie zaczęto jej podawać te czary. Jest to faktem bardzo znamiennym, że jeden z „najnaturalniejszych“ dramaturgów niemieckich wprowadził na deski sceniczne najrzetelniejszą bajkę. To nie chwilowa odmiana w pomysłach, ani przelotne dziwactwo, ale puls czasu, który woła pełnym głosem: Dosyć, dosyć pijaków, rozpustników, szachrajów, wydanych na pastwę fotografii powieściopisarskiej.

Wszystko to nie znaczy, ażebyśmy dla bajki odwracali oczy od rzeczywistości; przeciwnie, wpatrujmy się w nią uważnie i głęboko. Dr. W. Kosmowski wydał (w odbitce z *Medycyny*) rozprawkę swoją „O wzroście i wadze dzieci klas biednych w Warszawie.“ Autor oparł ją na pomiarach, dokonywanych w biurze kolonii letnich, dopełniwszy ten dość obfity materyał danemi z własnej praktyki. Jest to praca sumienna, metodyczna, porównawczych zestawień pełna, nie daje nam jednak wniosków niespodziewanych i rzucających światło w głąb życia warstw ubogich naszego miasta. Według badań d-ra K., bezwzględna długość ciała i bezwzględna waga chłopców w tych klasach jest niższa od bezwzględnej długości i wagi chłopców odpowiedniej sfery w Bostonie, Sztokholmie, wyższa zaś od turyńskich. Dopiero między rokiem 14—15 chłopcy biedni u nas przewyższają wzrostem szwedzkich, a dosięgają amerykańskich—przy wadze mniejszej. Natomiast dziewczęta do 15 r. również co do bezwzględnej wagi i długości ciała stoją niżej od szwedzkich i amerykańskich, a nawet co do wzrostu są prześcignięte przez włoskie. Ogólny wniosek z wywodu d-ra K. tak się przedstawia: dzieci klas biednych w Warszawie nie wiele ustępują pod względem rozwoju fizycznego dzieciom *proletaryatu* w Sztokholmie, są lepiej rozwinięte od włoskich w Tyrynie a ustępują znacznie amerykańskim i angielskim. Nastręcza się tu nam uwaga. Różnice, wynikające z porównawczych pomiarów wzrostu i wagi dzieci (i nie dzieci) mogą tak dobrze zależeć od czynników społecznych (karmienia się, warunków hygienicznych itd.), jak od rasowo-antropologicznych, same przez się więc nie dają wskazówek ścisłych w żadnym kierunku.

Bardzo często czyny są lepsze od ich obrony. P. Podkowiński, twórca obrazu „Szał uniesień,“ wysłuchawszy pochlebnych sądów krytyki o tym obrazie przybył pewnego dnia na Wystawę Sztuk pięknych i pokrajał go w kawałki. A to co znowu?—zapytano ze wszech stron. Kurzawa rozbił swój posąg, ale był rozgoryczony wyrokiem komisyi konkursowej. Tymczasem co rozdrażniło p. Podkowińskiego? Rozwiązania tej trudnej zagadki podjął się *Kuryer codzienny*, który z wyznań malarza ułożył dla niego taką apologię. Twórczość artystyczna miewa różne pobudki, a zadowolenie w niej osiąga się wtedy tylko, gdy spełnimy zamiary i pragnienia, złączone z tą pobudką, często dla otoczenia zewnętrznego niepojętą. Otóż tego celu p. P. nie osiągnął. „Obraz mój — powiada on — podobał się publiczności, względem której dotrzymałem też obowiązku (?) i pozostawiłem „Szał“ na wystawie prawie do końca oznaczonego terminu; w tych dniach miał być zdjęty, zamiast więc zwijać go na wałek i schować, wolałem skonstatować zawód doznany, zawód całkiem indywidualny.“ Czy wy to rozumiecie? Ja — nie. Bo jeżeli p. P. spostrzegł, że nie osiągnął celu i doznał „zawodu indywidualnego“ — po co obraz wystawiał? Jeżeli chciał doczekać terminu, czemu zniszczył go publicznie, zamiast dopełnić tego w domu? Wreszcie przed kim chciał „skonstatować zawód“? Wszystkie te pytania pozostaną bez odpowiedzi a nie stawialibyśmy ich wcale — bo artyście wolno zrobić ze swym utworem, co mu się podoba — gdyby on nie spełnił aktu publicznego

i gdyby znowu ten akt nie dostarczył wątku do rozpraw dziennikarskich. Według nas wszystko to było najzupełniej niepotrzebne.

Zeszłoroczne niepowodzenie *corsa* kwiatowego nie zabiło tego pomysłu, tylko wskazało poprawki w jego wykonaniu. Tym razem ujęło go w swe ręce Towarzystwo ogrodnicze, które w połowie czerwca ma urządzić: wystawę powozów i welocypedów ubranych kwiatami ogrodowymi, polnymi, różami, dalej konkurs dekoracyj stołów zwykłych i weselnych, mieszkań itd. Nie w logice, nie w stałych gustach, lecz w niezbadanych gwiazdach zapisane są u nas losy przedsięwzięć tego rodzaju; więc trudno powiedzieć, czy ta zabawa kwiatowa w najbardziej niekwiatowem mieście się uda. Zależy to od jakiejś pobudki zagranicznej, od reporterskiego hasła szczęśliwie rzuconego między czytelników kuryerowych, od jakiejś wpływowej damy — albo ja wreszcie wiem od czego. To pewna, że nie od komitetu organizującego igrzysko.

Nie zniewieściełiśmy jeszcze, kiedy znalazł się ktoś między nami, kto (p. F. Reinstein) powędrował pieszo do Antwerpii. Nie odczuwam jednak tej przyjemności. Gdyby tak droga ciągnęła się śród róż, gwoździków, lewkonij, tulipanów, werben, floksów i innych ciałek, w których siedzą, śmieją się i pachną duszyczki poezyi — poszedłbym nawet z Warszawy do Warszawy przez cały obwód kuli ziemskiej; ale po szosie, śród kurzu i żydowskich bryk ze ślepymi końmi — nie! To już lepiej wejść do jakiejś szklarni, zastawionej różami i chodzić wzdłuż niej póty, aż się złoży droga do Antwerpii.

Poseł Prawdy.

SPRAWY EKONOMICZNE

PRAWO PROPINACYI.

III.

Ustawa akcyzowa z r. 1860, wprowadzona w Cesarstwie 1863 roku, zastrzega, że prawo propinacyi w miastach, stanowiących własność prywatną (dominialną), pozostaje nadal przywilejem wyłącznie właściciela. Nie dość tego; art. 304 bierze w opiekę prawa właścicieli, zastrzega bowiem, że „mieszkańcom tych miast i miasteczek nie zabrania się przywozić do nich wódki i spirytusu, tudzież napojów i trunków z nich wytwarzanych, lecz tylko na potrzeby własne i nie inaczej, jak w naczyniach szklanych.“ To samo prawo zostało w „jurydykach,“ przeszłych w kraju zachodnim na rzecz skarbu i ściśle jest zastrzeżono w okólnikach, wydanych przez ministra skarbu w uzupełnieniu ustawy akcyzowej i w licznych orzeczeniach senatu.

Ważnym przełomem w stosunkach propinacyjnych jest uwłaszczenie włościan. Art. 17 Ukazu z r. 1864 o urządzeniu włościan w zastosowaniu do Królestwa Polskiego, mówi: „Prawo propinacyi (tj. przepisy wyrobu i wyszynku trunków) na gruntach przez włościan nabytych, jako z prawa własności wypływające, do całej gromady należy.“ W innych prowincyach państwa handel trunkami na gruntach włościańskich regulują specyalne artykuły ustawy akcyzowej. Gromady wiejskie atoli pobierają opłaty za udzielanie pozwolenia na otwarcie szynku. W dalszem regulowaniu stosunków z r. 1864 w Królestwie Polskiem dominium postradało dochody propinacyjne na gruntach włościańskich, bez żadnego odszkodowania. (Tak samo odebrano dworom prawo polowania na gruntach gromadzkich i rybołówstwa w wodach, przytykających do tych gruntów). Dominium nie utraciło jednak całkowicie dochodów z osad karczemnych (we wsiach), które nie podlegały uwłaszczeniu i pozostały nadal źródłem wpływów propinacyjnych dworu. Karczma właściciela, w obrębie wsi położona, mogła i nadal przynosić dominium pewien dochód, a od woli posiadacza zależało branie w dzierżawę całej propinacyi wiejskiej, albo poprzestawanie na dochodzie częściowym, dzielonym ze skarbu. Karczmy dworskie na gruntach dworskich, tj. nie w obrębie wsi położone, nie podlegały ograniczeniom i dochód z wyszynku, jeżeli go prowadził sam właściciel bezpośrednio lub przez dzierżawcę, był jego własnością. Oprócz powyższych praw dominium, należały doń jeszcze dochody z propinacyi w miastach t. zw. dominialnych.

Wzmiankowaliśmy już kilkakrotnie o nowej ustawie akcyzowej, obowiązującej w guberniach Cesarstwa od r. 1863, w guberniach Królestwa od r. 1866. Teraz, ze względu, iż na jej podstawie unormowały się stosunki późniejsze i obecne, musimy uważniej przyjrzeć się jej szczegółom zasadniczym. Ustawa ta, uznająca zupełną swobodę hurtowej i cząstkowej sprzedaży trunków, innemi ograniczeniami nie krępowała, prócz tego, że prawo udzielania pozwoleń na handel trunkami przyznała osobom i instytucyom najbardziej interesowanym i zapobiegała wszelkim monopolom. Przy tem wszystkiem musiała ona uwzględnić historyczny rozwój stosunków własności. Ustanawiając akcyzę i opłatę patentową, nowe prawo zniosło całkowicie opłaty konsumcyjne, pobierane w miastach na rzecz skarbu od trunków krajowych i mięsa, tudzież opłaty za patenty propinacyjne i szynkowe od żydów, wreszcie uchyliło opłaty konsensowe od trunków krajowych i opłatę od rzezi bydła, pobieraną na dochód kasy m. Warszawy. Ustawa poddała ścisłej kontroli rządowej nietylko wyrób spirytusu, wódki, piwa i miodu, lecz i ich sprzedaż. Na zakładanie gorzelni, browarów i fabryk miodu lub dzierżawienie ich dozwala każdemu na gruncie własnym lub w miejscowościach, w których przywilej sprzedaży trunków nie służy komubądź wyłącznie. Sprzedaż hurtową i detaliczną uznaje za przedmiot wolnego handlu; moc trunków może być dowolna. W miastach, osadach i miasteczkach dziedzicznych na szynk lub zakład pokrewny należy mieć pozwolenie dzierżawcy dóbr albo propinacyi, w razie gdy dzierżawa ta jest odrębną od dzierżawy dóbr. Na gruntach właścicieli prywatnych ci ostatni dają pozwolenie. Wogóle nowa ustawa bierze w opiekę interesy własności prywatnej w dobrach prywatnych, miastach i osadach dominialnych, tudzież na gruntach włościańskich.

Wkrótce po wprowadzeniu ustawy akcyzowej wydano przepisy, znoszące prawa dominium w miastach dominialnych i na tej zasadzie uchylono pozostałe jeszcze z r. 1846 opłaty, pobierane przez dzierżawców (targowe, brukowe, jarmarczne, rogatkowe, dyszlowe itd.), wszelkie ograniczenia i monopole dziedziczne w zakresie wznoszenia budowli, mielenia zboża, zakładania fabryk, handlu różnymi produktami; opłacane przez mieszkańców miast na rzecz dziedzica okupy, czynsze, czynsiki, placowe, osepy, robocizny, daniny, tudzież wszelkie powinności, wynikające z postanowień ogólnych, aktów erekcyi, inwentarzów, wpisów i tabel prestacyjnych, wydanych przez samych dziedziców lub w ich imieniu. Jedynie pozostało nadal przy dziedzicu prawo wyrobu i sprzedaży trunków, tudzież sprowadzania ich na własne potrzeby aż do czasu wydania nowych postanowień. Zniesienie powyższych opłat i powinności, pobieranych przez dziedziców, pociągnęło odszkodowanie ze skarbu, które wypłacono w stosunku 6% listami likwidacyjnymi. Dnia 2 maja 1870 r. reskrypt Najwyższy orzekł, że kasy miejskie mają prawo do rocznych zasiłków ze skarbu w wysokości utraconych dochodów propinacyjnych, o ile tego wymaga koniecznie stan funduszów miejskich. Zasiłki te wszakże z czasem się uszczupliły z powodu oddania na rzecz miast odsetek od ceny patentów szynkarskich, świadectw, biletów handlowych i przemysłowych, opłat od aktów rejentalnych i od spraw, rozpoznawanych przez sędziów pokoju. Takie stosunki propinacyjne trwają dotąd w dawnych miastach dominialnych i nie uległy zmianom, niekorzystnym dla właścicieli.

W zakresie praw propinacyjnych na wsi od r. 1866 do chwili obecnej nie zaszły zmiany zasadnicze. Wyjaśniono tylko i rozwinięto wiele szczegółów przy kwestyach w praktyce wynikłych: między innemi, że ograniczenia ustawy akcyzowej, zabraniające prawa propinacyi właścicielowi karczmy dworskiej, skoro stoi ona na gruncie chociaż dworskim, lecz przyległym do włościańskich, stosują się tylko do tych karczem (powstałych po 2 marca 1864 r.), które znajdują się w odległości nie większej, niż 150 sążni od najbliższej miedzy włościańskiej. Następnie jedna z uchwał pozbawiła właściciela dominium pierwszeństwa we wzięciu w dzierżawę propinacyi na gruntach włościańskich i nakazała oddawanie jej tylko przez licytacyę.

Tak się przedstawia przebieg historyczny i obecny całokształt warunków propinacyjnych do chwili ostatniej. Przystępując do doby, będącej w przededniu ważnej reformy, musimy podać szereg pozycyj dochodów propinacyjnych, które są niezbędne dla zapoznania czytelnika z istotą prawa propinacyjnego tudzież dla wysnucia wniosków o bonifikacyi w razie skasowania przepisów dotychczasowych i wprowadzenia monopolu państwowego. Oto są owe dochody prywatne, które w powyższym wypadku muszą być skupione, jeżeli reforma pociągnie za sobą zamknięcie karczmy prywatnej, bez względu na to, czyją jest własnością. Na wsi: 1) Dochód z karczem, należących do większych właścicieli ziemskich i położonych na gruntach dworskich, ściśle wziętych, tudzież pośród wsi, który zapewniony jest posiadaczowi większej własności z mocy art. 376, 378 i 379 ustawy akcyzowej. 2) Dochód gromad włościańskich z propinacyi na gruntach uwłaszczonych, który przyznany został włościanom przez art. 17 ukazu z r. 1864, „jako z prawa własności wynikający.“ 3) Dochody gromad włościańskich za pozwolenie na otwieranie szynków w obrębie wsi w guberniach wewnętrznych Cesarstwa oraz takież dochody właścicieli prywatnych w wypadkach, gdy wydanie takiego pozwolenia od nich zależy. W miastach: 1) Dochody propinacyjne b. właścicieli miast dominialnych, oparte nietylko na uchwałach sejmowych i prawach z ubiegłego wieku, lecz i na licznych aktach prawodawczych bieżącego stulecia. 2) Dochody propinacyjne kas miejskich i ziemskich, płynące z odsetków, pobieranych od ceny patentów na prawo produkcyi, tudzież sprzedaży trunków i napojów.

Karczma dworska na gruntach dworskich ściśle wziętych i karczma dworska pośród gruntów włościańskich położona, to — mówi p. Radecki — jednakowe źródło dochodów propinacyjnych dominium. „Czy właściciel propinuje w nich sam, czy przez swego propinatora, to w każdym wypadku istotą dochodów dominium są zyski przemysłowe, osiągane na handlu trunkami, bądź branymi z gorzelni własnej, bądź też nabywanymi w gorzelniach sąsiednich. Istota dochodów dominium nie

ulega przeistoczeniu i wówczas, jeśli właściciel karczmy na gruntach dworskich, ściśle wziętych, puszcza propinacyę w dzierżawę, albo nie dzierżawiąc propinacyi wiejskiej, dzieli się ze skarbem dochodami, jakie przynosi propinacya na gruntach włościańskich, pośród których posiada osadę karczemną. W obu wypadkach ostatnich właściciel odstępuje tylko na rzecz dzierżawcy część swych dochodów, których istota nie ulega żadnej zmianie. Jest to dochód z przemysłu, stanowiący różnicę pomiędzy ceną kosztu trunków i napojów, będących przedmiotem przemysłu a ceną sprzedażną tych samych przedmiotów." Wobec tego dochody propinacyjne z karczem dworskich możnaby przyrównać do zysków, osiąganych przez każdego innego procederzystę, gdyby nie to, że „przemysł ten zbrojny jest w prawo karczmy, przysługujące właścicielowi dominium, prawo do prowadzenia w niej wyszynku—prawo utrwalone ostatecznie w w. XVII i XVIII, ograniczone tylko późniejszemi zarządzeniami." Ograniczenia te wymagają ustąpienia części dochodów propinacyjnych na rzecz skarbu i gmin, wskutek obowiązku nabycia patentu i opłacenia odsetków od jego ceny na potrzeby gminy. Ograniczenia te wszakże, ani też późniejsze przepisy prawodawcze nie zachwiewają w zasadzie tego prawa. „Uchylenie tego prawa — mówi autor wyczerpującej pracy, p. R. — pozbawienie właściciela możności orzekania o tem, czy chce lub nie chce wyzyskiwać w ten lub inny sposób pożytki, jakie mu własność zapewnia, równałoby się wywłaszczeniu z pewnej części własności—wywłaszczeniu, które w wyjątkowych tylko wypadkach bywa dokonywane bez stosownego odszkodowania."

Pokrewnego charakteru jest prawo włościan do dochodów propinacyjnych na gruntach, które stały się ich własnością. Ukaz nie wyzuł z tego prawa w Królestwie Polskiem własności ziemskiej, którą nadał włościanom i chociaż nie oddał im na razie dochodów z tego źródła, określił jednak wyraźnie termin dla owego ograniczenia prawa własności, mianowicie — „umorzenia listów likwidacyjnych," emitowanych dla spłacenia właścicieli większych na grunty przeszłe do włościan. Art. 17 ukazu z r. 1864, tudzież art. 546 kodeksu Napoleona stanowią podstawę, na której, zdaniem p. Radeckiego, ma być rozstrzygnięta sprawa odszkodowania właścicieli małej własności ziemskiej, w razie gdyby przyjść miało do uchylenia praw włościan do dochodów propinacyjnych.

Trochę inaczej rzecz się przedstawia w zakresie praw, nabytych przez włościan uwłaszczonych w wewnętrznych guberniach Cesarstwa. W ukazach tam wydanych niema mowy o przyznaniu włościanom prawa do dochodów z propinacyi. Ustawa akcyzowa przyznała tam prawo udzielania pozwoleń na otwieranie szynków na gruntach włościańskich. Pozwolenia te były płatne, a osiągane z tego źródła dochody przez gromady wiejskie szły na potrzeby tych ostatnich. Dostrzeżono atoli w tym względzie nadużycia i nieprawidłowości, skutkiem czego prawo z 17 maja 1892 r. ostatecznie uświęciło ograniczone w r. 1885 pobory gromad za pozwolenie handlu trunkami na ich gruntach, nakazało prowadzenie ścisłych rachunków z owych dochodów i użycie ich w danym wypadku na pokrycie zaległości podatkowych. Niedawno pisma ruskie doniosły o wezwaniu władz właściwych do złożenia raportów szczegółowych o stanie i szafowaniu funduszów, płynących na rzecz gromad z tego źródła, nadto zaprojektowano użycie w części tych funduszów na urządzenie czytelni po wsiach, herbaciarni, nabywanie narzędzi rolniczych, poprawianie ras bydła itd. Fakty owe dowodzą, że władze liczą się z tymi dochodami, więc w razie ich zniesienia będą musiały jakieś inne źródło otworzyć.

Z. P.

MINISTERYUM ROLNICTWA.

Gorączkowo oczekiwane przez ogół ziemian, z dziedziny projektów wkracza już do czynu. Dnia 11 kwietnia r. b. zakwitło „nowe zwycięztwo postępu nad rutyną," jak słusznie głosi prasa ruska. Ministeryum rolnictwa otwarto, czyli wytknięto nową drogę dla rozwoju niezmiernie ważnego odłamu produkcyi. Działalność owej organizacyi sterniczej, jak wiadomo, ma na celu rozszerzenie i utrwalenie podstaw nauki, polepszenie techniki rolniczej, hodowlę zwierząt domowych, rozwinięcie robót melioracyjnych znaczenia ogólno-państwowego lub miejscowego, badanie spraw, wchodzących w zakres ekonomii wiejskiej, handlu, przemysłu itd. Niezmiernie ważne znaczenie będzie miała nieprzerwana łączność między rolnikami a ową instytucyą. Jej organizatorowie w większości przyszli do tego przekonania, że długoletnie doświadczenie tudzież gruntowna znajomość potrzeb istotnych danej miejscowości, to jest podstawa działań, dających rękojmię pożytku i unikania omyłek. Chcąc zatem ten warunek wyczerpać całkowicie, należy korzystać z uwag i rad ziemian pojedynczych lub przedstawicieli całych grup, którzy bystrością umysłu i rzetelną znajomością rzeczy mogą przynieść ogółowi nieoszacowane korzyści. W tym celu co rok przy ministeryum rolnictwa zbierana będzie rada gospodarstwa wiejskiego na okres sześciotygodniowy. Będzie to zakres działalności, ujęty w pewną formę na podobieństwo pruskich „Landes Oekonomie-Kollegium," lub we Francyi „Conseil supérieur de l'agriculture." Do składu owej rady pod przewodnictwem ministra lub jego towarzysza należeć będą, oprócz delegatów z ramienia ministeryum Dworu i apanaży, ministeryum skarbu, komunikacyi i spraw wewnętrznych, prezes komitetu naukowego ministeryum rolnictwa, dyrektorzy departamentów rolnictwa i leśnictwa, zarządzający wydziałami: melioracyi, ekonomii wiejskiej i statystyki gospodarstwa wiejskiego, a po za tem najmniej piętnastu przedstawicieli rolnictwa. Będą oni powoływani przez ministeryum z szeregu ludzi wytrawnych, gruntownie obeznanych z przedmiotem, nietylko z miejscowości o intensywnym systemie gospodarstwa, lecz z różnych gubernij państwa, ażeby tym sposobem skupić całokształt potrzeb i nie pominąć najmniejszego ich szczegółu. Nadto przewodniczącemu w radzie służy prawo zapraszania na sesye, jako rzeczoznawców, ludzi fachowych, którzy mogliby dany przedmiot, podlegający rozważaniu, rozpatrzyć gruntownie i wszechstronnie. Z rezultatami pracy rady będzie mógł się zapoznawać szerszy ogół zapomocą sprawozdań, co rok ogłaszanych. Ażeby rada gospodarstwa wiejskiego mogła ciągle korzystać ze świeżych sił i wciągać do siebie jak najlepszy żywioł ziemiański, postanowiono powoływać rolników do urzędowania na rok jeden tylko. Łatwo ocenić zadanie rady i jej rolę w praktyce, jeżeli zważymy, że jej członkowie wraz z delegatami ministeryalnymi zajmą się nietylko roztrząsaniem projektów rozporządzeń rządowych w sprawie polepszenia warunków rolnictwa, ale także poważnem rozpatrywaniem i uwzględnianiem wyrażanych zewnątrz potrzeb danego okresu, narad i wniosków wszelkich towarzystw i innych organów rolniczych. Dzięki temu, każdy z ziemian, powołany na członka rady, będzie miał prawo występować z żądaniem, aby jakabądź kwestya, uznana przezeń za ważną, była objęta porządkiem dziennym sesyi plenarnej. Żądania te powinny być wyłuszczone na miesiąc przed posiedzeniem. Koszty przyjazdu do Petersburga i z powrotem ziemian, zasiadających w radzie, ponosić będzie ministeryum rolnictwa, nadto owi przedstawiciele rolnictwa otrzymają dyety 15 rs. na dobę. Fundusz na ten cel w kwocie 20,000 rs. wnoszony będzie corocznie do budżetu departamentu rolnictwa. Na utrzymanie tego departamentu, wydziału melioracyjnego tudzież ekonomii i statystyki gospodarstwa wiejskiego wyznaczono 230,000 rs. Ogólna suma etatu ministeryum rolnictwa i dóbr państwa wynosi 793,750 rs., asygnowane od r. 1895. Dodatkowa suma 180,000 rs. udzielona będzie w r. b. na utrzymanie centralnego zarządu ministeryum.

Z.

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Dozór techniczny. Dnia 26 marca r. b. zatwierdzono przepisy, na mocy których zostają zniesione posady mechaników gubernialnych w 60 guberniach państwa. Obowiązek zaś dozoru technicznego nad fabrykami i zakładami przemysłowymi włożony będzie na inspektorów fabrycznych. Liczba ich wzrośnie do 143. Mechanicy zaś gubernialni (których cyfra dojdzie do 909), pozostaną po za obrębem Rosyi europejskiej na pensyi rządowej. Zakłady fabryczno-przemysłowe płacić będą podatek od kotłów parowych, który oznaczono tymczasem na trzy lata w stosunku: od kotłów używanych w gospodarstwie wiejskiem i zakładach rzemieślniczych do siły 6 koni po 5 rs., od 6—12 po 10 rs, ponad 12 po 20 rs. Od wszelkich innych kotłów po 20 rs od sztuki. W r. b. podatek płacony będzie tylko w połowie swej wysokości i powinien być wniesiony do 13 czerwca. Działalność przepisów o dozorze nad zakładami fabryczno-przemysłowymi tudzież o stosunkach wzajemnych fabrykantów i robotników rozszerza się na gubernie: wołyńską, grodzieńską, kijowską, kostromską, liflandzką, niżegorodzką, podolską, riazańską, twerską, charkowską, chersońską, estlandzką i jarosławską. W stosunkach administracyjnych inspekcya fabryczna zależna będzie od departamentu handlu i rękodzieł, urząd zaś głównego inspektora zostaje zniesiony. Przepisy zaczynają obowiązywać od 13 maja r. b.

Towarzystwo wzajemnego kredytu w Warszawie na ogólnem zebraniu wykazało pomyślny stan za rok ubiegły. Dowodem zaufania ogółu są lokacye długoterminowe, których wysokość, przewyższająca $1\frac{1}{2}$ mil. rs. pomimo wielkiego poszukiwania gotowizny, zmniejszyła się w okresie sprawozdawczym tylko o 44,600 rs. Operacye pożyczkowe wykazują przyrost ciągły; skup weksli wyniósł przeszło 10 milionów; pożyczki udzielane rolnikom, w stratach przedstawiają stosunek normalny lat pomyślnych dawniejszych. Kapitał obrotowy wykazuje przyrost znaczny. Z końcem roku Towarzystwo liczyło ogółem 2,168 członków, akredytowanych na sumę 11 mil. rs. Z tej liczby 585 należy do ziemian, 189 stanowią domy handlowe, banki, towarzystwa akcyjne, przemysłowcy i fabrykanci, 582 — kupcy i handlujący, 217 — rzemieślnicy, rękodzielnicy i mniejsi fabrykanci 592 osoby z różnych kategoryi (urzędnicy, adwokaci, inżenierowie, lekarze, właściciele domów itd.). Sumę 85,555 rs. rozdzielono: na dywidendę dla członków Towarzystwa W stosunku $7\frac{1}{2}$% od wniosków, na kapitał obrotowy wpłaconych rs. 77,898. Na zepomogę dla war. Tow. dobr. 200 rs. Na gratyfikacyę za 20-letnią służbę urzędnikowi 750 rs. Pozostałe 6,706 postanowiono wpisać do zysków na r. 1894.

O PRAWDĘ.

List do Redaktora „Prawdy“ w sprawie oceny p. Maryi Wąsowskiej.

(Dokończenie).

Jeżeli powyżej zarzut „wyszrubowania przez *Kuryery*“ został jak mniemam odparty, to tego drugiego zarzutu, jakkolwiek on wydaje mi się monstrualnym, rozumowo odeprzeć nie jestem w stanie, pocieszam się jednak myślą, że p. Selika nie będzie również w stanie go dowieść. Pozwolę sobie przytem zrobić uwagę, iż zarzucaniem komuś złej woli należy operować bardzo ostrożnie — jest to bowiem miecz obosieczny.

2. *Co do osobistego stanowczo ujemnego wrażenia p. Seliki*, to tak ze względu na powagę pisma, w którem pomieszczoną została omawiana krytyka, jako też dla utrudnienia sobie obrony, przypuszczam, iż p. S. jest wolną od wszelkich względów osobistych, że jest znakomitą znawczynią muzyki, że posiada wysoki zmysł artystyczny. Ale nawet w takim razie jej osobiste wrażenie nie może tu mieć znaczenia, albowiem można mu przeciwstawić wyżej przytoczone wrażenia krytyków europejskich, przeciwstawić „zelektryzowanie“ nawet początkowo chłodnej publiczności, przeciwstawić wreszcie wrażenie Rubinsteina, które posiada chyba niejaką wagę. Jakże więc wobec powyższych tak dodatnich przypuszczeń względem p S. wytłomaczyć sobie jej ujemne wrażenie? Jest to zapewne jakaś idyosynkrazya, która nikogo obowiązywać nie może. Zdarza się np., że nawet jakiś wytworny gastronom nie znosi np smaku i zapachu pomarańcz; nikt nie będzie zmuszał go do ich spożywania, ale z drugiej strony nie zdoła on przekonać innych znawców, aby owoc ten należało wyrzucić w błoto. Ale powie nam kto może, iż przypuszczając „idyosynkrazyę,“ nie dość szanujemy wrażenia i uczucia jednostki. Dobrze, więc pójdźmy jeszcze o krok dalej na polu ustępstw dla jednostki oraz na polu utrudnienia obrony. Zróbmy następujące porównanie: cała ludzkość na widok lasu doznaje wrażenia zieleni, na widok nieba — wrażenia błękitu — biedna ludzkość: ona podlega daltonizmowi. Ale występuje jednostka obdarzona wyjątkowo, jednostka już nie z *idyosynkrazyą*, ale owszem jednostka, którą nazwijmy *normalną*, jednostka zdolna do pojęcia „Ding an sich,“ do odczuwania wrażeń absolutnych, nie zaburzonych żadnemi warunkami ubocznemi, nieskrępowanych żadnemi więzami względności. I oto ta jednostka normalna widzi jaknajwyraźniej i naucza ludzkość, że niebo ma barwę, sromotnej gumiguty a las barwę wstrętnej posoki. Takie są barwy prawdziwe, absolutne. Lecz i w takim nawet razie ludzkość pozbawiona zmysłu bezwzględności oświecić się nie da: ona gruba i naiwna, „wzięta na kawał“ przez siłę natury, zachwycać się będzie nadal uroczą zielenią lasów, cudownym błękitem nieba, lazurem gór dalekich.

Jak w powyższem porównaniu tak i w danym razie nic to nie pomoże, iż nam p. S. powie o artystce rzeczy najnieartystyczniejsze: że „jakkolwiek w technice nie przytrafia jej się nigdy brzydki wypadek,“ to jednak „bierze ona tylko na kawał,“ że „niema nerwu muzycznego, nie ma polotu, nie ma indywidualności,“ że nawet technika, jako wykuta, nie jest jej zasługą itd. *); cóż to wszystko pomoże: dla grubych natur ludzkich, nie pojmujących prawdy absolutnej będzie to zupełnie niezrozumiałe wobec tego jednego faktu, że artystka posiada tę „siłę,“ ten „święty ogień“, co porywa i entuzyazmuje słuchaczy! **).

3. Zobaczmy teraz jakie *wnioski o psychologicznej stronie artystki* wyprowadza lub nasuwa p. S. na podstawie swego wrażenia i postarajmy się sprawdzić te wnioski i to niezależnie od wartości wyżej rozbieranego wrażenia, które im służyło za podstawę.

Odtwarzanie duchowej strony artystki a priori na podstawie wrażeń muzycznych o ile może być pociągające dla umysłów typu leverrierowskiego, o tyle jest niebezpieczne wtedy szczególniej, gdy da się ono łatwo *skonfrontować z faktami.* Przypomina mi się tutaj pewien nasz literat rzeczywiście „wyszrubowany przez kuryery,“ który pokusił się skonstruować a priori język dawnego dokumentu, nie wiedząc o „brzydkim wypadku,“ że dokument ten istnieje przechowany i że nie jest ani na jotę podobny do skonstruowanego. Coś podobnego i tutaj ma miejsce: p. S. odtwarzając psychologię p. Wąsowskiej, jakby zapomniała, że artystka jest dzieckiem Warszawy, że żyje śród nas, że wielu ludzi, różniących się nieco i etycznie i umysłowo od reporterów, było i jest świadkami jej artystycznego rozwoju i że oni wiedzą, iż fakty jej życia, dające się łatwo sprawdzić stanowią z typem skreślonym przez p. S. antypodyczne przeciwieństwo (a zupełną zgodność z typem krytyk zagranicznych) tak, iż dla sprowadzenia formuły p. S. do rzeczywistości trzebaby w niej wszystkie znaki — zamienić na +; wszystkie „nie“ na „tak“ i odwrotnie!

*) Prosimy porównać jak podobne są te wrażenia p. S. do wrażeń *Kuryerów*, które miały niby „wyszrubować“ pannę W., a jak antypodycznie sprzeczne z przytoczonemi wrażeniami krytyków zagranicznych, wziętych naturalnie „na kawał.“

**) Z drugiej strony celem naszym nie jest bynajmniej przekonać p. S., pozostanie ona bezwątpienia przy swych wrażeniach i nadal; my chcemy tylko dać sposobność czytelnikom *Prawdy* zadość uczynienia ważnej zasadzie sprawiedliwości: „audiatur et altera pars.“

I tak: p. S. nie mogąc zaprzeczyć artystce wysokiej techniki (i to w formie, że „nie zdarza jej się brzydki wypadek“) dodaje zaraz, jak wspomniałem, że nie jest to żadną jej zasługą, ponieważ „nie miała zbyt wielkich trudności w zwalczaniu uniesień“; że „mogłaby równie dokładnie grać przez sen jak na jawie“; że „szkodzi jej zbyt wielka pewność siebie“ itd. Wszystkie te twierdzenia służą do psychicznego scharakteryzowania artystki jako bezczuciowej, bezdusznej maszyny, jako prawidłowo działającej katarynki!

Tymczasem ta katarynka p. S., ta bezduszna maszyna „mogąca grać równie dobrze przez sen jak na jawie“, gra jednak zupełnie inaczej w różnych chwilach i różnych okolicznościach; inaczej śród kółka ludzi życzliwych i natur pokrewnych, inaczej tam, gdzie słuchają jej nie pojmujący lub niechętni — tak potrzeba jej, jak każdej wyższej organizacyi nerwowej, tej świadomości, że dusza jej znajduje oddźwięk w duszach pokrewnych. Ta bezduszna maszyna z taką „pewnością siebie“ pomimo zupełnego opanowania techniki, pomimo tylu powodzeń, drży przed każdem wystąpieniem — tak mało sądzi o sobie tak wiele od siebie wymaga. Ta katarynka miewa nawet „na jawie“ chwile takiej niewiary w siebie, takiej depresyi, że po całych dniach nie jest w stanie grać; kiedyindziej następują znów chwile napływu szalonej energii, w których grywa jak natchniona po wiele godzin prawie bez odpoczynku, po czem jest bliską omdlenia. (Czyż wobec tego może być mowa o wykuwaniu techniki?).

Tak więc ta bezduszna maszyna w *wyrbraźni* p. S. jest w *rzeczywistości* subtelną organizacyą nerwową, naturą głęboko czującą, zdolną do namiętnie-artystycznych porywów, naturą o wszystkich cechach genialności.

Że natura taka nie posiada sprytu życiowego, że nie potrafiłaby zaskarbiać sobie względu reporterów „wyszrubowujących,“ że nie byłaby w stanie zniżyć się do organizowania reklamy, to znajduje logiczne uzasadnienie w jej psychologii, a realny wyraz w niechętnych przedberlińskich krytykach warszawskich.

Reasumując całe nasze powyższe roztrząsanie, dochodzimy do przekonania, że potępienie panny W. opierało się 1) na faktach niezgodnych z prawdą, 2) na wrażeniu, które, jako wprost przeciwne wrażeniom ogółu, jest zupełnie wyjątkowe i doczesnego świata obowiązywać nie może, 3) na wnioskach z wrażenia tego a priori wypływających, które, jak można się było spodziewać, są wprost przeciwne faktom, a więc utrzymać się nie dadzą.

* * *

Nikt może bardziej ode mnie nie uznaje potrzeby walki przeciw „wyszrubowywaniom,“ karyerowiczowstwu, prywacie, bladzę; zdaje mi się nawet, że w naszych warunkach mniejszą zasługą jest zasianie pięknego ziarna, które najczęściej marnieje przygłuszone chwastem, niż wyplenianie chwastów, które przygotowuje grunt do pewniejszego posiewu. To też doznaję zawsze przykrego uczucia, ilekroć przychodzi mi wystąpić przeciw autorowi, walczącemu pod tym samym sztandarem wyplenianiа; ale gdy mi się wydaje, że towarzysz mój popełnił omyłkę lub mimo swej woli nie był dość sprawiedliwy, nie mogę się wstrzymać od wystapienia, a zdaje mi się, że nie jest to ze szkodą sztandaru.

W szczególności co do artystów, to ci bywają rzeczywiście najczęściej „wyszrubowywani“ i to należy piętnować bez litości, ala z drugiej strony artysta potępiony *niesprawiedliwie* znajduje się w daleko gorszych warunkach obrony niż każdy inny pracownik: gdy ktoś uczonemu zarzuci, że dwa a dwa nie jest cztery, łatwo on sobie z tym zarzutem da radę; ale gdy ktoś nawet genialnemu artyście powie, że on gra nie ładnie lub że nie ma duszy, jakże może on dowieść, że gra pięknie, jak ma swą duszę okazać? *).

Wacław Nałkowski.

*) Z powodu nieobecności autorki w Warszawie, odpowie ona prawdopodobnie później. *Red.*

DONIESIENIA URZĘDOWE.

Warszawskij Dniewnik zamieszcza następujący komunikat:

„W ubiegły wtorok, d. 5 (17) kwietnia, tłum różnego stanu osób zamierzał urządzić w Warszawie publiczną demonstracyę na pamiątkę setnej rocznicy powstania Warszawy, na którego czele stanął podówczas miejscowy szewc, Jan Kiliński.

W dniu tym, około godziny 10-ej zrana, organy policyi zauważyły znaczną liczbę studentów tutejszego uniwersytetu, kierujących się wraz z towarzyszącemi im damami i wchodzących do kościoła św. Jana, gdzie w tym czasie odbywało się osobne, zamówione nabożeństwo.

Po ukończeniu tego nabożeństwa, znajdujący się na niem wychodzili z kościoła prawie oddzielnie i wszyscy zwracali się w jedną stronę, ku rynkowi Starego Miasta, gdzie zaczęli się grupować tak, że kiedy skierowali się ku ulicy Wązki-Dunaj, utworzył się już tłum do 300 ludzi, wyglądający na procesyę, która zwróciła się na ulicę Podwale, gdzie zamieszkuje jeden z potomków w prostej linii Kilińskiego.

Na tej ulicy demonstranci zostali zatrzymani przez komendę policyjną i wprowadzeni na dziedziniec cyrkułu zamkowego, gdzie zostali imiennie zapisani, dla sprawdzenia osobistości każdego.

W liczbie zatrzymanych znalazło się: 158 studentów tutejszego uniwersytetu, 3 słuchaczów instytutu weterynaryjnego warszawskiego, 46 mężczyzn różnego stanu i 32 kobiety różnych towarzyskich pozycyj i stanów.

Śledztwo administracyjne co do rzeczonej demonstracyi prowadzi się w ustanowionym porządku.“

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Dzienniki petersburskie donoszą, iż reforma więzienna będzie ukończona r. b. w całem państwie.

— W sprawach, dotyczących służebności, komisye włościańskie zazwyczaj odrzucały uzupełniające dokumenty, nadsyłane później, a mogące rzecz wyjaśnić. Obecnie senat rządzący wyświetla, że byleby skarga apelacyjna była podana w terminie prawnym, to wszelkie podania i dowody uzupełniające, składane nawet w ostatniej chwili, o ile dotyczą danej sprawy, a nie innej, obowiązkowo powinny być przyjmowane.

— Ministeryum spraw wewnętrznych wystąpiło do Rady państwa z projektem obowiązkowego podziału gruntów, pozostających we wspólnej własności obywateli wiejskich, miejskich oraz mieszkających w osadach w Królestwie Polskiem (*Jurid. gaz.*).

— Zarząd lwowskiej kasy oszczędności z powodu 50-lecia swego istnienia, uchwalił przeznaczyć na budowę domów robotniczych 200,000 złr.

— Hr. Włodzimierzowi Dzieduszyckiemu Towarzystwo przyrodników we Lwowie wręczyło adres dziękczynny za zapisanie na rzecz kraju Muzeum przyrodniczego.

— Poseł Lewicki w parlamencie wiedeńskim poruszył sprawę mnożących się samobójstw w wojsku i jako powód, podał brak kultury u podoficerów, którzy dręczą żołnierzy, oraz zaniedbanie nauk i praktyk religijnych.

— Według sprawozdania wice-konsula angielskiego, pierwsi emigranci żydowscy, przybyli do Argentyny w styczniu r 1891 (3,600 osób), pochodzili przeważnie z Rosyi południowej. Najlepiej się dzieje rodzinom, liczącym wielu członków. Dotąd wydano na kolonizacyę 440,000 funtów sterlingów. Towarzystwo pobiera $1/4$ ze zbioru na umorzenie funduszu, udzielonego na maszyny i narzędzia rolnicze. Zbiory są bardzo obfite, tem bardziej, że szarańcza nie psuje zboża. Każda rodzina potrzebuje 4—6 wołów do orki i tyleż krów; nie wszyscy atoli mają. Zarząd kolonii urządził oddzielny budynek dla chowu bydła. Administracya każdej osady składa się z 2—3 członków, wybranych przez kolonistów i jednego kontrolera z ramienia Towarzystwa. Rada zarządza robotą osadników i zaspokaja wszelkie ich potrzeby.

Szkoły. *Praw. Wiest.* zamieścił tekst nowej ustawy korpusu kadetów marynarki i szkoły technicznej morskiej. Zadaniem pierwszego jest dostarczenie flocie oficerów; drugiej — uzdolnionych inżenierów okrętowych i niższych mechaników floty. Do korpusu kadetów przyjmowani będą kandydaci dwóch kategoryi: do pierwszej należą synowie wyższych oficerów i w ogóle urzędników wyższych, zaliczonych do ministeryum marynarki, do drugiej — synowie szlachty dziedzicznej. Do szkoły technicznej będą przyjmowani oprócz tych ostatnich, synowie obywateli honorowych dziedzicznych, tudzież dzieci urzędników i oficerów marynarki. Kurs korpusu marynarki — 6-letni, szkoły 4-letni.

—Od roku szkolnego 1894—95 w uniwersytecie jurjewskim skasowana będzie posada prorektora, a natomiast utworzoną — inspektora studentów. Jednocze-

śnie ma być wprowadzone ogólne umundurowanie dla studentów, według wzoru powszechnego.

Koleje i komunikacye. W r. b. Towarzystwo kolei Południowo Zachodnich rozpocznie budowę odnogi do Krzemieńca.

— W Petersburgu 3 b. m. odbyło się pierwsze posiedzenie zjazdu przedstawicieli związków kolejowych: francusko-niemiecko-rusko belgijskiego i rusko-austryacko - węgierskiego w sprawie taryf wywozowych i wwozowych.

Zmarli. Adolf Bogucki w Warszawie; muzyk-kompozytor. Obok sztuki uprawiał z wielkiem zamiłowaniem pszczelnictwo i jedwabnictwo. Chcąc rozpowszechnić to ostatnie, wypowiedział o niem 60 odczytów w różnych miejscowościach. R. 1885 założył u siebie w Sielcach (Bogucinie) pod Warszawą szkółki i plantacye morwy, ulepszył przyrządy do hodowli jedwabników, urządził wielką rozwijalnię surowego jedwabiu tudzież tkalnię ręczną systemu Jaquarda i otworzył w Bogucinie bezpłatną szkołę jedwabnictwa. Z licznych prac jego w tym zakresie zasługują na uwagę: „Jedwabnictwo nasze i obce" (dwa wydania), „Regulamin hodowli jedwabników," „Zasiew i hodowla morwy," „Jedwabnik" (w encykl. roln.). Wogóle był on duszą naszego jedwabnictwa i dał mu podstawy. To też Towarzystwo jedwabnicze obrało go na swego wice-prezesa, niedawno zaś zamianowało na członka dożywotniego. Bogucki urodził się 21 lipca 1835 r.

Odpowiedzi Redakcyi.

K. W w Łodzi. Za najlepszą uważana jest książka (3 tomy) Korzona, która jednak nie zawiera czasów najnowszych. Co do drugiej — Bobrzyńskiego.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 15 Апрѣля 1894 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.